



Ed. archiwum IBL



DYKTERYJKI

PRZEZ

S. ROZBICKIEGO.



WARSZAWA,

w Drukarni Józefa Tomaszewskiego
przy ulicy Bielańskiej Nr. 600.

—
1848.



DIETARY

TABLE

OF THE



WARSAWA

Wydawnictwo Państwowe

1848

1848

8224

WYDAWCA

W. Kozłowski

BIBLIOTEKA

DYKTERYJKI.



WARSZAWA,

Wydawnictwo

ul. Miodowa Nr. 6/8

1842

ca
rca

DYKTERYAKI.

DYKTERYJKI

PRZEZ

S. Rożbickiego.

BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

194 26-68-63



WARSZAWA,

w Drukarni Józefa Tomaszewskiego

przy ulicy Bielańskiej Nr. 600.



1848.

BIBLIOTEKA
Fundacji im. J. J. Michałkiewicza
Ze zbiorów

BRNRS

S. Kozłowski
BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA
BADAN LITERACKICH PAN

WOLNO DRUKOWAC,

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 15/27 Stycznia 1848 r.



Cenzor,
HIGNET.

WARSZAWA,

w Drukarni Józefa Tomaszewskiego

przy ulicy Bielańskiej Nr. 600.

1848.

2922

<http://rcin.org.pl>

Ostatni ścięty mieczem za prawa jus gladii w Piotrkowie. (1)

Miły Boże co to bywało—*rzekł do mnie pan Stanisław z Tarachowic*—co to bywało mospanie, ani miary, ani końca, ani wędzidła nie znalazłeś na pijanych braci szlachty; rąbaniny szły bez liku, to bez nosa, to bez ucha, to bez palca, czy z kiermaszu, czy z jarmarku nieraz zawadjaka powracał.—

A bywało onych czasów, że kto butny to réj wodził i każdy jak się przekonał o jego sile, nikt mu już drogi niezastępował. — Bo też mospanie ja sam pamiętam niejakiego Dobrzelewskiego, którego imie wyszło mi z pamięci, a który mieszkał we wsi Syskach (2) na podziale pod Piotrkowem z panem Zabłockim, i on to tak był krzepki, że w najżywszym pędzie, chwytął za koła od powozu i nietylko wstrzymywał w biegu, ale nieraz odrywał z osiami. Szlachta po części już wiedziała o takiej sile Dobrzelewskiego i z daleka od niego była, ale chłopstwo, jak chłopstwo, gdy się popije na kiermaszu, nuż szlacheica za nic nie mieć, to tak mu się starała, czy gadką, czy słówkiem, czy zaczepką, jaki figiel splatać, że Dobrzelewski nieraz rozgniewany, gdy go motłoch obstał do zwady, jak machnie tylko rękami i w tę i w ową stronę, a niechcąc ich ranić żelazem, to niebożęta padali jak gruszki leśne, gdy się ich potrzęsie; a Panie zmiłuj.

się, nie jeden znalazł i guza, i ranę, a drugiego dzwigali bez duszy. — Niechno by było kogo mospanie chwycił samopas, to święty Boże zgniótlby jak pliszkę; to też przyjaciele jego, a nawet ja sam choć go dobrze znałem, nigdym mu ręki nie podał do powitania, bo jak uścisnął z wielkiej czułości, to człowiekowi poty z głowy wychodziły, oczy skrami zabiegły, a paznokcie krwią zatoczyły. Z resztą był to człowiek ludzki, gościnnie, przyjacielski, w swoim domu gościa uraczył do syta i napoił, aż nieraz człek usnął przy kielichu. Skakał z radości gdy się sąsiady wesolo bawili, nikogo w swoim domu choćby mu się sprzeciwił lub uraził, ani słowem, ani palcem nietknął, i sam choć niewinny przepraszał; — ale niechno toby się zdarzyło na jarmarku, lub sejmiku, poznałby dopiero szlachcie co umie Dobrzelewski; — a strzelał gracko, chrzabąszcza w lot trafił, a rąbał tego, bo jeśli palnął, niecheąc przeciwnika zabijać, to żelazo

wytrącił najmniej o staje, aż ziemia się zatrzęsła.

A wieleżto mospanie szlachty nakiereso-
wał, nakaleczył, nazabijał, nikomu jednak
niedając wprzód racyi, ale broił też bez liku
gdy go kto zaczepił.— W kościele modlił się
jak świętoszek, spowiadał się często, na
wszystkich mszach i wotywach klęczał i od-
mawiał pacierze, a na podniesieniu plackiem
leżał na ziemi i bił się kułakiem w piersi, dla
tego też u księży i zakonników wielki miał
respekt.

Trzeba mospanie, że żona pana Zabłoc-
kiego z umysłu, mając jakoś rozgniewane
serce do pani Dobrzelewskiej, kazała służą-
cój len wymoczyć w jej sadzawce, gdzie ryb
mnóstwo było.

Ale że to waszeci mówić jak o żelaznym
wilku, bo i gdybym się zapytał i pokazał
wasanu groch, to mi powiesz tatarka a na
pasternak buraki, tak i tego na wielkim wa-
szym świecie pewnie waszec nie słyszałeś,

że mocząc len lub konopie, ryby w sadzawce usypiają.

Otóż pani Dobrzelewska z płaczem wpada do swego męża, a kochał ją nad życie.

— A mój mężu... co ona sobie myśli... spokoju przez nią nie mam, to się wywodzi nademną, to mnie niesławi, a teraz mi wszystkie ryby zatrula.

Dobrzelewski, panie świeć nad jego duszą, lubo nieboszczyków nie godzi się obmawiać, ale jak był ludzki, gościnny, litościwy, tak nadzwyczaj prędki, passyonat i determinat na wszystko; — wpada zatem zadyszany z gniewu, i wychodzącego Zabłockiego ze swéj sieni, rąbie żelazem na miejscu.

A onego czasu bywało, choćby szlachcie najwięcej zawinił, niewypadało go ani batożyć, ani więzić, ani karać, dopóki trybunał niezawyrokuje a sam król nie potwierdzi; — a jeszcze miał szlachcie jeden wybieg, jeśli na głowę zawinił, a niechciał pozwolić ostrzyć miecza na swoim karku, mógł się schronić

do murów klasztornych, a ztamtąd siłą zbrojną niewolno było winowajcy dobywać, a zakonnicy nigdy sami niewydawali takiego, który się oddał ich opiece.

Po wyroku Piotrkowskim, kiedy pan Starosta z radnemi śmierć za śmierć zawyrokowali, sąsąd najwyższy potwierdził; Dobrzelewski tak się zrećźnie uwinął, że umknął z rąk halabardników i schronił się do Franciszkanów Piotrkowskich; (3) jednak żona zabitego, chcąc pomścić krzywdę swego męża, na klęczkach błagała pana Starostę i sędziów o spieszne wymierzenie sprawiedliwości.

W takiej turbacyi zostając pan Dobrzelewski, szukał sposobów przez swoich krewniaków, o ulaskawienie przez samego króla, który bawił naówczas w Nieświeżu na Litwie u Wojewody Radziwiła. — Krewniaki jakos poszli po rozum do głowy udając się z prośbą najprzód do księcia, który wysłuchawszy o co rzecz idzie, a że bardzo lubiał takich za-

wadjaków, wyrobił u króla Stanisława list żelazny; — a w Piotrkowie nieborak Dobrzelewski jak trusia siedział w celi klasztornej, płakał jak dziecko, siekł ciało różgami i gorzko żałował swego popędu.

Jednego razu już nad zmrokiem przyszedł jego przyjaciel od serca, a przekupiony od Starosty, zapukał do furty klasztornej, objawił swe imię i prosił na sekret Dobrzelewskiego.

Dobrzelewski był szczery, otwarty, łatwowierny, ufajac, a osobliwie gdy mu podał przyjacielsko rękę, i ujrzał że nikogo nie było więcej naokoło murów, zaczął z nim rozmawiać tajemnie. — I od słówka do słówka odprowadzając Dobrzelewskiego od ferty, zaczęli się namyślać głęboko nad czemś ważnem, w tém jak z ziemi wyskoczyli pacholcy sądowi i porwali jak swego do więzienia.

Ucieszony Starosta, że złapał ptaszka, który tyle napłatał, a nie było końca miary jego brówerjom, kazał na drugi dzień wystawić na rynku przed ratuszem szafot, poza-

mykać wszystkie bramy miasta i godzinę 12 na eksekucją ustanowić.

Piotrków w owym czasie, nie był tak rozległy jak dzisiaj, w około tylko murami był opasany i do tego tak wysokie, że chłop na chłopie postawiony ze trzy razy niedostałby końca, a fossy dość głębokie czyniły to miasto podobnem do małej fortecy; i gdy bramy były zamknięte, nikt bez pozwolenia Starosty wjeżdżać nie mógł.

Już się zbliżyła godzina śmierci Dobrzelewskiego, już narodu jak nabił w około na to widowisko zbiegło, już Starosta i sędziowie na rynku przed zielonym stolikiem siedzieli, a instrygator wyrok czytał skępowemu Dobrzelewskiemu, choć się to niego-dziło tak mordować szlachcica, już pachołcy obstąpili szafot z podniesioną bronią, już nawet kat umywał ręce, a zaostrzał miecz (4); w tem z za bram miasta trąbka pocztowa słyszeć się dała, i żona Dobrzelewskiego upadła do nóg panu Staroście i bla-

gała z płaczem o pozwolenie wpuszczenia poczty do miasta przed eksekucją.

Panu Staroście jakoś serce się zmięczyło, bo przecież mospanie miał serce i na chwilę nakazał wstrzymać się z wyrokiem.

Cisza w pospólstwie uroczysta nastąpiła, halabardniki napowrót szable w pochwy pochowali, a klucznik miasta wpuścił pocztę do Piotrkowa. -- I niedługo komornik królewski doręczył panu Staroście ułaskawienie Monarchy; a sędziowie i radni spostrzegłszy pieczęcie i podpis Stanisława Augusta, natychmiast rozkazali zdjąć łańcuchy, odwiązać czarną chustkę z oczów, i wypuścić na wolność Dobrzelewskiego; ale on sam wstawszy na szafot, a był chłop jak gidja, bo pierwój klęczał i modlił się gorąco, wyrzekł do narodu.

— Zgrzeszyłem wiele bracia moi, wiele gwałtów popełniłem przez moje życie i sprawiedliwie zasłużyłem na karę, a sam się pod nią poddaję upraszam w Imieniu Boga, o

wymierzenie sprawiedliwości! — i znowu ukląkł na szafocie.

Naród się wzruszył takim postanowieniem Dobrzelewskiego, wielu uczuło litość i łzy potokiem płynęły, a osobliwie potwarzy niewiast; i wielu nawet przyszło błagać go, aby zaniechał swego zamiaru; jednak mospanie gdy zawyrokował głosem uroczystym że sam sobie życie odbierze, pan Starosta i radni widząc niezłomną jego intencją, natychmiast nakazali wypełnić tak sprawiedliwe życzenie.

I Dobrzelewski pocałowawszy w ręce kata jak zwyczaj kazał, wypowiedał się jeszcze raz przed księdzem Franciszkanem, przeżegnał się trzy razy, a mówiąc Anioł Pański został ścięty. (5)

Tak to mospanie sumienie każdego grzesznego człowieka gryzie, tak marwi, tak truje, że już mu nawet życie niemiłe.

Na tem dzisiaj wasam ukończę historją, ale jak z każdego zdarzenia, powinienes wa-

san brać dla siebie przykład i naukę, tak i z tego, aby zawsze rządzić się rozsądkiem i rozwagą, gwałtów nigdy się niedopuszczać, passją wtrzymywać, modlić się pobożnie, ale i pobożnie wypełniać wszystkie przykazania święte, to nietylko mospanie sumienie będzie spokojne, ale i na tamym świecie będziesz szczęśliwy, bo nie jeden przyjaciel, lub znajomy ceniąc twoje cnotliwe życie, zmówi nieraz pobożny paciorek.

san przedla siebie przyklad i unike, tak i to-
 go, aby zawsze radzic sie rozsazkiem i ro-
 zwazaj, gwałtowny nigdy sie nie dopuszczac,
 passja wzrzymywac, modlitwo sie poboznie, ale
 i poboznie wzpechnac wszystkie przykazania
 swiate, to nietylko mospanie smutnie bedzie
 spokojne, ale i na samym swiecie bediesz
 szerszy, do niejednej przyjaciel, lub zna-
 jomy, cenie swoje cnotliwe zycie, zmieni
 nietylko pobozny paciorek, ale i znow

tak znow w wywarze szkodliwych
 znow znow wywarze szkodliwych
 znow znow wywarze szkodliwych
 znow znow wywarze szkodliwych
 znow znow wywarze szkodliwych

Tak to jest, że...
 sznogo...
 je...
 Na ten...
 w...

PRZYPISKI.

- (1) Pamiątka historyczna.
- (2) Dwie mile od Piotrkowa.
- (3) Klasztor ten od lat kilkunastu jest w ruinach, a gruzy jego w pośrodku miasta, tak są imponujące i uroczyste, iż patrząc w te zwaliska, jakieś uczucie trwogi wradzają.
- (4) Widziałem jeszcze w roku 1847 dwa miecze w Magistracie Piotrkowskim, zachowane dla pamiątki, któremi ścinali winnych.
- (5) Według podań miejscowych wzmiankowany Dobrzelewski miał być ostatnim, co na mocy prawa miecza w Mieście Piotrkowie został ścięty.

ZAWIĄZANIE

- (1) Pamiątka historyczna.
- (2) Dwie mile od Piotrkowa.
- (3) Klasztor ten od lat kilkunastu jest w ruinach, a grzyby jego w pobliżu miasta tak są imponujące i rozczyste, iż białe w te zwaliska, jakież uczucie tworzy w grzybach.
- (4) Widziałem jeszcze w roku 1847 dwa miano w Magistracie Piotrkowskim, zachowane dla pamiątki, które w ścisłości winnych.
- (5) Według podań miejscowych wzmiankowany Dobrzelewski miał być ostatnim, co na mocy prawa miejsca w miejscu Piotrkowie został ścięty.

Przywileje Szlachty. (1)

Siadźmy przy kominku — *rzekł do mnie nad wieczorem kiedy ogień buzował dziadek pan Stanisław z Tarachowic*, — opowiem wasanu dawne dzieje, co to bywało za onych czasów, kiedy szlachta swoje przywileje zachowywała. — Bo też do tego klejnotu mospanie potrzeba było się dosługiwać, nie przy piecu, nie przy dzbanku, ale na polu, na wojnie, być śmiałym, odważnym, nawet życie swo-

je ważyć; to dopiero mospanie król, albo hetman wielki koronny, nobilitacją cię zaszczytli; — a taki, choćby z pacholka albo chłopca szlacheckiego wyniesiony, już używał praw i swobód jak i magnaci, bo już był równy w honorze, tylko nierówny w majątku; — jednak mospanie niektóre piecuchy, co to na wsi szabelką trząsają na swoich chłopów, a tańcu tatarskiego od urodzenia niewąchali, licząc się do stariej szlachty, nowego przybysza do swego grona mało uważają; — ale za to magnaci i senatorowie, ceniąc ich zasługi, wynagradzali takich hojnemi łaskami. Nadawali im urzęda przy dworach swoich, przypuszczali do jednego stołu, i do najpiękniejszych dziewczoj w okolicy zawozili; — sami swatali, i ciągle mając ich na opiece kierowali na ludzi; to też każdy onych czasów garnął się do wojaczki, łożył życie jak pigułkę śniegu, bił się mężnie, a jeśli przy łasce Boga nie zginął, powracał do domu okryty zaszczytami, łaskami króla, łupami bogatemi i pe-

dził życie do śmierci szczęśliwe. Każdy go już cenił, poważał, wielbił; nawet i czapkę uchylił, choć był młodszy w latach; a takiemu co świeżo był nobilitowany, nie wolno było przypominać czem się dawniej trudnił, ale potrzeba go było szanować jak szlachcica, a nigdy nie kłaść, gdyż mógł śmiało zarażać napastnika bez odpowiedzialności.

Jakoż się stało w miasteczku Olsztynie, kiedy na zamek pana starosty, przyjechał z depeşami niejaki Kazimierz Jakubowski, szlachcic niedawno nobilitowany, — a towarzyszył od chorągwi królewica Alexandra Sobieskiego, który razem z królem Janem III wojował pod Wiedniem; a że w owym czasie w Olsztynie był jarmak po Środopóściu, wstąpił tenże Jakubowski na kwartę miodu do miejskiej karczmy. — Tam sobie popijając jakiś ekonom, co miał pretensją do tego zaszczytu; wszedł z nim w gawędkę, a gdy pytał z kądby był rodem i jakie jego miano, odrzekł mu, że jest szlachcicem z Podlasia

i że się nazywa Jakubowski; na coby pytający pokiwał głową; pomyślał i odpowiedział: *ja o żadnych Jakubowskich, coby była szlachta nie słyszałem, choć chwala Bogu około 40 lat żyje, to pewnie ze starego testamentu musi być legitymacja*, a gdy to dokończył, już łeb ekonoma potoczył się pod ławę gospody. Gdy wieść doszła na zamek o tem zdarzeniu, pan Starosta choć zganil porywczosć panu Jakubowskiemu, ale go nie więził i nawet list protekcyjny za nim napisał do Królewica Alexandra (2).

Tak to dawniej mospanie szanowali swoich zaszczytów, bo ich krwawo dosługiwali, i tysiąc padło ofiarą śmierci nim jednemu dostała się nobilitacja.

Poszedłeś do dworu jeśli kuso było koło kieszeni, to cię magnat przyjął do urzędu, wypytawszy się pierwój o twoje nazwanie i familią. Poszedłeś do zakonu, mieli dla ciebie respekt, i promowali jak najlepiej. — Można było i kanonikiem i prałatem i opatem

i biskupem, nawet i prymasem z prostego szlachcica doczekać. Poszedłeś do żołnierki, zostałeś zaraz rycerzem, towarzyszem, potem regimentarzem, niedługo chorążym i mogłeś jeśli Bóg życia i zdrowia pozwolił, być pierwszym z panów.

Choćbyś mospanie i z siwą na wojacze, a na późne lata chciał spocząć na swojej zagrodzie, to cię żenili jak najlepiej, i nasze dziewoje młodziuchne jak wiosenne lilie, niegardziły siwą brodą i więcej miały do niej powabu, jak do młokosa, a kochały go bardzo, bo się zasłużył krajowi.

Jako mospanie wiele mieliśmy przykładów, a nawet nie tak dawno, kiedy Jan Zamojski, starzec 70^{cio} letni, polubował prześliczną 17^{sto} letnią dziewczę Markizankę de la Grand Marją Kaziinirę, co to ozdabiała dwór i zamek Króla Jana Kazimierza; a sama Królowa Marja Ludwika Gonzaga, dla męża tak zasłużonego w swojszczyźnie, tyle dołożyła starań i protekcyi, że ładna

jéj wychowanka, niedługo dała się namawiać (3).

Bo też mospanie nie tak dawniej bywało jak dzisiaj, córki szlachty nie lubowały się przed ślubem, ale pilnowały kądzieli, a gospodarstwa; jedynie wtenczas były szczęśliwe ujrzeć obcego mężczyznę, kiedy swaty przyjechały, a potem swego narzeczonego miały powitać, to się ukazywały białe jak aniołki stroju nie ubrane i to jeszcze na churkach (4) tak, żeby pan młody niemógł przed ślubem, nawet rączki jéj pocałować (5).

To też te biedaczki wyszedłszy z klasztoru z nauki, tajemnie odmawiały koronki, litanie, antyfony, a gorąco modląc się i szturgając piersi, ciężko wzdychały, żeby tam jaki się zjawił konkurent, coby tak nieszczęśliwą z więzienia wydobył; a nawet udawały się od czasów, iżby mogły tem prędzej przywabić do siebie kawalera, nosiły ciągle ziele dzięgiel, co jéj stare baby raiły, prażyły proso na patelni, odmawiając do tego

stosowne zaklęcia (6) suszone serce gołębie zawieszali nad łóżkiem;—uważali z pewnych wróżb, taczając pierścień po podłodze, a jeśli chwytali w pędzie był znak dobry;—obserwowali kota kiedy się łapkami omywał, w którą spojrzy najprzód stronę, to ztąd amant przyjedzie i wiele, wiele bardzo miały sposobów i tajemnic do tej intencji.—Ale bywało, że nieraz panna i dwudziestkę przeszła, a niebożatko wzdychało i płakało niemówiwszy czego, i trzydziestkę przeżyć Pan Bóg pozwolił, aż się serce z żalu krajało, a tu ani dudu o konkurencie;—dla tego też Mospanie, wiele z dziewoj szlacheckich poszłubowały zakonowi; jak to uczyniła żyjąca jeszcze przeorysza Bernardynek u świętej Katarzyny w Radomskiem pod Świętym Krzyżem (7) niejaka Starzyńska, a osoba z dobrego domu i rodziny;—ma już około 90^{ciu} lat, a tak jeszcze rzeźka i zdrowa, żebyś nigdy tyle nie liczył.

Owego czasu żonę dostawszy, byleś szczę-



śliwy, nie znała co to zabawy, bale, maskary, co to odwiedzać kilka razy do roku Warszawę, jak się stroić nowomodnie, tracić pieniądze na próżno; ale pilnowała swego miana, przysporzała pracą, dopomagała radą, a Bóg jakoś błogosławił.

A dzisiaj mospanie jeszcze panna, głowę mozoli nad cygańskim językiem, baliku żadnego nie opuści, wiedzieć musi wszystkie bajki sąsiadów, a panie odpuść o kądzieli nie słyszała, i ani się niespyta; — z adonisem na boku szepta, ściska go sekretnie za rękę, oknem wygląda w tę stronę z kąd przyjeżdża, a Bóg wie do czego to doprowadza. — Niechnoby mospanie dawniej choć o tém pomyślała, a ojciec się dorozumiał lub zoczył, już panna na churku, sama jedna, i o jednej potrawie, najmniéj trzy dni byłaby się modlić musiała. — To też dawniej konkurent nie kochał się przed ślubem, ale potem do śmierci żyli zgodnie z sobą jak dwa gołąbki, a dzisiaj wy-

kocha się galant wybladły, a po ślubie żona w tę, a mąż w tę stronę, o gospodarstwie zaś pan Bóg i rozumni ludzie pamiętają.

Dawniej mospanie pretendent niemiałty-le subiekcyi, nie tracił na częste odwiedzi-ny, jak to teraz nazywają na rozpoznanie charakterów, ale co mu Bóg przeznaczył z tego był kontent.

Uprosił bywało swoich krewniaków, jeśli rodzice zostawali już na Bożym świecie, a czy wuj, czy stryj, czy ciotka przyjeżdża-ła w oświadczyzny, a działa się wszystko po Bogu.—Jeśli im się podobała familia i pokre-wieństwo, odpowiadali prosto damy, lub nie damy, niefrymarczyli słowami, jak w tych czasach, a swat przywoził nadzieję pewną, lub już niełudził swojego kuzyna.—Jeszcze bywało mospanie, że gdyby pretendent był przyjęty, a on sam nieumiał się spodobać matce lub ojcu panny na wydaniu, już słowami nieodpowiadali dla czego sobie nieży-czą, ale był zwyczaj w całej Polsce w dniu

trzecim dawania na zupę czerniny a na Litwie barbuza na deser; — to kunkurent ukłoniwszy się jak najprzyzwoiciej, powinien był kazać osiodłać konika, bo owych czasów karetą niewypadało zajeżdżać do panny, i zaraz po obiedzie pożegnać na zawsze dom niedoszłego teścia. — A panie zmiłuj się nieraz i z bagateli popadł w niełaski, naprzykład gdy się zająknął w odpowiedzi, albo kapłona nieumiał na powietrzu rozebrać, lub też peli pamotoanej poskręcać, a takim sposobem okazywał się niezgrabnym, i niemiął cierpliwości; — jednakże mospanie gdy za rok panna jeszcze nie wyszła za mąż, wolno mu było powracać i znowu okazywać swoją zręczność.

Ale ktokolwiek mospanie był podejrzanego szlacheetwa, nie mógł nigdy konkurować do szlachecianki... ba... nawet wara mu było od dworu szlacheckiego, — a choćby mospanie ćwierciami liczył dukaty, to dopóki nie był na wojaczce, niepowąchał prochu, nie

tańczył ze Szwedami lub Tatarami, to nigdy nobilitacyi niemiał. — A nudno żyć bywało takiemu na świecie, bo go nigdzie nieprzyjęto, nikt z nim nie żył, każdy pogardzał, a jeśli by sobie wioski eichaczem nakupywał, to wprost czy rząd, czy szlachcic prawdziwy, najechał, złupił, dziedzica wypędził i sam się ogłosił panem.

Późniejszymi czasy magnaci, jak to praktykował starosta Kaniowski, (8) o kim się nieprzekonał, że szlachcic z miecza i kądzieli, za lada co bez pardonu, łozami kozakom kazał smagać, nawet bez respektu, bo i kobiercu niewynoszono.

Przeznaczeniem takiego bywało mieszkać w mieście i trudnić się rzemiosłem lub procederem. I tu mógł żyć sobie szczęśliwie i spokojnie, aby niezadzierał nosa, niepiął się wysoko, schylił czapkę przed magnatem, a ożeniwszy się podług swego stanu prowadzić życie uczciwe.

Ale gdy mieszczenie zaczęli się panoszyć,

landarami paradować, w kuntuſze, żupany, sobole, a żony w drogie materje i złote pierſcienie ſtroić, to ſzlachta rozgniewana ſpoſtrzegłszy taką nieſtósowność, uprosiła u królów, iż im nadano prawa, bardzo uciążliwe, bo oni odtąd w kurtach lub kubrakach, a żony w wełniankach byli zmuszeni chodzić.

Nawet burmistrzom i rajcom do panowania Zygmunta III ſzabli noſić niewolno było (9), a jedna ſzlachcianka na małej wioſeczce, nie tylko że nieprzyjęła konkurów dygnitarza miasta Proszowic, ale jeſzcze ośmieliła ſię przypomnieć mu o bizonach, jak ſtara pieśń podaje. Niech ją wason poſłucha, bo choć człek dożył ośmdziesiątkę, jednak jeſzcze dobrze pamięta.

On
 Niech będzie Jezus Krystus pokwolony,
 Powidz mi Aśka czym jeſt oddalony,
 Powidz mi Aśka co waże,
 Czy ſię tu bywać odważe?
 Niech ſobie czasu nienudze,
 I moich koni nie trudze.

Ona

Kiedy swe konie nademnie szacujesz,
 Co one dla mnie na moment żalujesz,
 Weź swoje konie do siebie,
 Obejdzie się tu bez ciebie.

On

Porusz się Aśka mojemy zapaly,
 Mam chleb, mam urząd, jestem człek dożrzały,
 Jeśli mnie kochasz statecznie,
 Będiesz mą żoną koniecznie.

Ona

Ja Aści żoną, co Aści rozumie?,
 Kiedy mnie Aści szacować nieumie,
 Aści być żoną nie mogę,
 Kiedy tak cenisz swą drogę.

On

Wszakże i czyprysy,
 Mają szwe kaprysy,
 Prędejbymy i skały,
 Pokruszyć się dały,
 A Aśki serca niemożna,
 Czy Aśka jesteś bezbożna?

Ona

Co mnie to Aści bezbożną nazywa?
 Niechaj się za to bizonów spodziewa,
 Mój ojciec szlachcie Gronczowski,
 A Aści kolton Proszowski.

On

Wychodzę za próg, już na pół zemdlony,
 Niech będzie Jezus Krystus pochwołony,
 Teraz i zawsze na wieki,
 Wypuszczam Askę z opieki.

O!... bo nasze szlachcianki mospanie, owe-
 go czasu arey były nabożne, modliły się go-
 rąco a spowiedzie odprawiły często, dla te-
 go też mospanie, bardzo się można było na-
 razić niewieście zarzuciwszy jój bezbożność,
 a matrony chcący swoje dziewuchny wydać
 za mąż, nader obserwowały, czyli amant
 żyje po Bogu, czy kiedy nie opuścił mszy,
 wotywy, lub summy, albo niespowiadał się
 najmniéj dwa razy do roku; a jeśli Mospa-
 nie jaka kryska w tym przedmiocie znalazła
 się, choćby był i kasztelanicem i podkomo-

rzycem i wojewodziecem, a bogaty jak starosta, a uczony jak Twardowski, już nieprzeprosisz, nieprzebłagasz pani matki, chyba jak ze szczerą intencją wystawisz klasztor lub kapliczkę, uposażysz zakonników; a jeśliś niebardzo zamożny, pójdiesz na klęczkach do matki boskiej Częstochowskiej, okażesz jasne dowody, żeś był pokorą i skruclią przejęty i rozgrzeszony od księży Paulinów, to wtenczas możesz jeszcze mieć nadzieję.

Nasze niewiasty tak żyjąc pobożnie, często we śnie miewały zwiastowania, to od Najświętszej Panny, to od Aniołów Stróżów i dowiadywały się z tego przyszłości. Burze, nawałnice i pioruny odpędzały, żegnając trzy razy relikwiami i dzwoniąc dzwonkiem Loretańskim (10); a wierząc w cuda Boskie, doczekiwały się w zdrowiu sędziwych lat i błogosławieństwa Boga, bo nieraz babka rzeczka jak panienka, była druchną na weselu

wnuczki, a za wnukiem sama jeździła w swaty do sąsiedniej wioski.

To też mospanie takie osoby jeśli się za kim wstawiły, to i skutek pomyślny niedługo widziałeś, bo i jakże było odmówić, tak szanownej, poważnej a pobożnej matronie.

Ale bywało mospanie że konkurent choć był szlacheć, ale familia daleko, a rodzice z młodu odumarli, i niemiał nikogo coby z rekomendacją i swatami, na dwór panny na wydaniu zajechał, to dopiero wtenczas była bieda; bo nieborak choć sam jeździł, ale niemiał śmiałości odkryć rodzicom swoich afektów do ich córki i intencyi do stanu małżeńskiego, a jeśli czasem płonął się jak kapłon w maśle, i wybąknął rodzicom swoje i za sobą poselstwo, to bardzo często niepoieczne były, a gdy jeszcze odpalony został, ze wstydu wstępował zaraz do zakonu.

Za onych czasów, kiedy jeszcze churków nieznano, a chociaż znano, toć i nie na każdym dworze, tak twardo niebożątka trzy-

mali; jeśli amant sam mógł palić cholewki do dziewoi, to jeszcze jako tako interesa stały, bo to jakoś dawniej łatwiej było z panną anówie poufać, i niemiał za drugą wizytą ty a ty się święciło; a panna się niegniewała, rodzice pozwalali, i konkurent był kontent; — jednak nigdy nie było zdarzenia jak teraz, aby szlachcie, zgwałcił podaną mu gościnność i narzeczoną opuścić.

Pamiętam jak dzisiaj mospanie, że mój wój, a już byłem wtenczas wyrostkiem, nie miał bliskich krewniaków i sam był zmuszony oświadczyć się. — Nim więc nadeszła ta pora, gmatwał sobie myślami głowę jak i co powiedzieć, boć to i nie lada potrzeba się napocić, żeby czasem nie zawadziło się na języku i nieurwało konceptu, jak gapiowi na weselu, ale przecież odezwać się po ludzku; — jednakże trafił po rozum do głowy i pojechał do pana Starosty aż na Ukrainę, bo to i on był w podobnem zdarzeniu; a z tamąd powróciwszy wyuczony, przywdział się w sajetowy kon-

tusz, jedwabny żupan, pas lity, buty karmazynowe, czuprynę podgolił, a wąsa pokreślił, i z tęgą miną zajechał czwórka, a na samym wstępie niepotknąwszy się ani razu, zapytał najprzód panny:

Przysłał mnie tu sam siebie,
Do waszeci ciebie,
Czy waszeci nie pójdzie,
Za naszego mnie.

I jakoś mospanie tak zbawienna była reszta nauki pana starosty, że mój wuj bez wielkiej ceremonii w tydzień dał na zapowiedź, a choć nieboszka wujenka raczka popiekła, jednak gdy rodzice pobłogosławili, niedługo wesele odprawiono.

A jakie to były sute gody, a potrawy z pieprzem, imbierem, korzeniami, i różnemi a przeróżnemi ingredjencyami, a jakie słodki kordjały, małmazje, miody, a jak szlachta węsata i dziewoje jak lilie, powolnego i szalonego w tańcach się prezentowali, to aż

niło wspomnieć, boć to i człek był młodszy i nie jednego wyrwańca wyskoczył.

Bańdurzyłem waszeci i o tém i o owem, już to będzie i czas skończyć, bo mi się na drzymkę zbiera, ale żeś wasan z uwagą posłuchał starego gdyracza, bardzo się z tego cieszę, i jeśli Bóg mi pozwoli zdrowia i życia, to waszeci coś nowego kiedyindziej opowiem.

Oswiadczenie zawiągi swojej szlachetni o
 Jego Mości pan Kazimierz Ja-
 kubowski Towarzystwo z pod zinsku Jasnie
 Wielmożnego Jego Mości Pana Alexan-
 dra Królewicza Polskiego, którego pod-
 kaza w Mułsterko Oistynie pod czas jar-
 marku Środopostnego.

(3) Dzwon literacki tom III.

(4) Chórek podobny wiódziałem sam jeszcze
 w gubernii Radomskiej wa wie Pilichowi-
 cach pod miastem Żerówem.

(5) Żyje jeszcze niejaka pani Gnałowska w Piotr-
 kowie, co ona staruska siadywała. — Ma lat
 około 100.

nio wspomnieć, bo to i exekcja młodszy
i nie jednego wyrwana wykoszły.

Bardziejem waszei i o tén i o owem,
już to będzie i czas skonać, bo mi się na
drzawkę zbiera, ależ w wasz z uwagą po-
stuchal starego górzca, bardzo się z tego
cieszę, i jeśli Bóg mi pozwoli zdrowia i ży-
cia, to waszei coś nowego kiedy indziej opo-
wiem.

PRZYPISKI.

(1) Opowiadania historyczne.

(2) W starych wyrokach urzędu Olsztyńskiego z roku 1691, jest to samo zdarzenie co dosłownie wypisane.

Actum in preterio Olstiniensi, feria secunda post dominicam letare proxima anno domini 1691 d. 26 Martii.

Oświadczenie zniewagi swoieij szlachetni e urodzony Jego Mość pan Kazimierz Jakubowski Towarzijs z pod znaku Jaśnie Wielmożnego Jego Mości Pana Alexandra Królewicza Polskiego, którego podkła w Miasteku Olstynie pod czas jarmarku srodoposnego.

(3) Dzwon literacki tom III.

(4) Chórek podobny widziałem sam jeszcze w gubernii Radomskiej we wsi Pilichowicach pod miastem Żarnowem.

(5) Żyje jeszcze niejaka pani Gnoińska w Piotrkowie, co na churku siadywała.— Ma lat około 100.

(6) Polska pod względem obyczajów i zwyczajów do połowy 17 wieku przez Maciejowskiego.

(7) Zakon ten przeniesiony z miasta Drzewicy, gdzie klasztor zdezelowany z powodu pożaru.

(8) Pamiętniki starego szlachcica Litewskiego.

(9) Historja Polska.

(10) Ja sam widziałem jak ś. p. pierwszego ślubu pani Podkańska, drugiego Bogucka, co szczęśliwie dożyła lat 108 w pożądanym zdrowiu, wychodząc w czasie grzmotu na środek dziedzińca w wsi Policzny, zęgnęła relikwiami krzyża świętego i dzwoniła loretańskim dzwonkiem.

3.

Pan Ignacy Strzembosz.

Pójdź jeno Waszeć — *rzekł do mnie jak zwykle mój dziadek pan Stanisław z Tarachowic* — jakoś człowiek i lulkę wykurzył i miodku sobie szklaneczkę pozwolił, o! bo ja mospanie najlepiej smakuje w tym kordjale a jakoś mi nudno, niemam z kim pobajać o dawnych czasach; to niech Waszeć siada, a będę waści prawil różności, i o facecyi pana Ignacego Strzembosza.

Święty panie—rzekł on — wszystkoby
 przebaczył, ale brewerje jakie szlachta do-
 kazywała to aż niemiło wspomnieć, czy to
 na jarmarku czy na gościnie, ni z tego, ni
 z owego, zawsze przyszło do zwady, nikt so-
 bie nie pozwolił w kaszę dmuchać, każdy
 chciał być równy, a tu nieprawda; bo pan, pa-
 nem, szlachcie, szlachcicem, chłop, chłopem,
 a żyd, żydem, zostać zawsze powinni, a bieda
 to wtenczas była, kiedy się młodszy na star-
 szego nastrzępił, bo magnat bez respektu ka-
 zał hajdukom obatożyć szlachcica, a potem
 mu sownie zapłacić, ale co bolało, tego nikt
 nie wrócił. Jednak nigdy nie bywało takich
 gwałtów, jeśli szlachcie nie zaszedł mu w dro-
 gę, jeśli zdjął przed nim czapkę, a czasem
 schyliwszy się pomacał kolano, to bez krzy-
 ku, bez gniewu, bez nahajów się obeszło; a
 pan pomuskawszy wąsów, a wyloty na tył
 zarzuciwszy, z dobrem sercem ścisnąwszy
 go przyjacielsko za rękę wszystkoby uczy-
 nił dla biedoty szlachcica. Ale że to mospa-

nie, zawsze rościło się w głowie chudemu pacholcowi, bo go tak ojciec nauczył, że szlachcie na zagrodzie równa się wojewodzie, piął się zawsze wysoko i magnatom dobrego słowa nie dał, to dla tego źle było, a oni sami sobie szkodzili, bo coby zyskali przez pokorę, stracili przez niepotrzebne junaetwo.

Ja nawet sam pamiętam, kiedy jakiś szlachciora z Podlasia, co miał kilka zagonów a chałupinę na pół rozwaloną, i z niedostatku ostatniego człapaka musiał wyprowadzić na jarmark do Łukowa, a od którego chciał kupić jakiś bogaty pan do swojej fornalki, że mu zaś nietytułował *panie bracie*, sprzedał swoją chetkę o połowę taniiej żydowi i jeszcze hurda burdu szarpnął się do kordelicy. *Co to mospanie! ja szlachcie, waśc mi ubliżasz do kroćset tysięcy, ja waści pokażę czym jest prawdziwy Junosza!... dalej mospanie do tańca* i wyjął szabelkę. Ale że to był jakiś magnat dobrego serca, podarował mu tę fantazją i na tém się skończyło; niechno-

(2) *Nikolaj Potocki wiersze Koniewski*

by jeno na którego impeta natrafił, toby go tak uskromić kazał, ażby nieborakowi nieboszka babka się przyśniła.

Już to wprawdzie i niewolno było, tak znowu niedyskretnie postępować z tym, co herby na sygnetach nosił, a w kuntuszu choć łatanym chodził, bo i pan więzę odwiedzić by musiał, jeśliby nie załagodził poturbowanego szlachcica, ale cóż?... złe dobrego nie wyciągnie.

Chłopów i swoich pacholców, to już bez pardonu i odpowiedzialności smagać im wolno było, a choćby który i życie utracił, to mała fraszka, ale za szlachcica leć za leć odpowiedziećby musiał.

A żydy!... to był naród zupełnie nieszczęśliwy i pognębiony, bo nietylko magnaci, szlachta, ale nawet chłopcy, dyscyplinarjusze i paupry krakowskie żyda za nie niemiały. Żyda skaleczyć, ranić i zabić, było małą igraszka, niekarano winowajcy, a księża łatwo rozgrzeszali.

Nietylko na Litwie magnaci, jak książę *panie kochanku* (1) kazawszy izraelicie wdrapać się na drzewinę i kukać, strzelał jak do kukulki, i *pan Kaniowski* (2) co często mawiał, że niewielkie święto, kiedy wczoraj żyda powiesili; ale i w Polsce onych czasów żyli panowie, co sobie podobne facecje wyprawiali.

Tak jak teraz, tak i dawniej byli czasem ludzie z sercem dobrem, i kiedy komu jaką psotę wyrządzili starali się ją w dwójnasób wynagrodzić. Bo i książę na Nieświeżu, kiedy zrobił sobie tę satysfakcją i tylko postrzelił żydziaka a niezabił, to natychmiat w swoim dworze, leczyć go nakazał i obdarował jakim folwarkiem, z którego do śmierci mógł spokojnie żyć, i jeszcze przy oszczędności nie mały grosz zostawić swój rodzinie.

Pamiętam ja sam w Polsce pana Cześnika Ignacego Strzembosz, co mieszkał w Opo-

(1) Radziwił Karol.

(2) Mikołaj Potocki starosta Kaniowski.

czyńskim, a szlachcie był bogaty, miał tyle wsi dziedzicznych, co i starosta Bogu by dziękował za taką donacją. — Człowiek to był jakich rzadko, serce miał miłosierne, ludzki w swoim domu, wesóły na gościnie, każdego nieszczęśliwego wspomógł, obdarzył, a to dla tego, że był prawdziwie nabożny, ale czasem był prędko, często fanatyk i żydom zawsze figle płatał, jednak nigdy żadnego nie zabił.

Czasem bywało kiedy się jaki brodacz na jego zamku pokaże, różne mu ceregiele robiono, to pejsy obrzynali, to brodę w karby powycinali, to wąsy ogolili, a jednakże choć niejednego tak oszkaradzono, codziennie tam łazili, bo jak nieborak tak skrzywdzony, padł do nóg panu Cześnikowi, a zaczął płakać, że jest nieszczęśliwy i żona z dziećmi z głodu umiera, a on sam niema roboty, to mu się serce z żalu krajało, i niemal za każdy włos stracony dukatami łagodził, jeszcze podarowawszy nie jedną furę ze zbożem. — Cza-

sem wypadło, że i panu Cześnikowi zabrakło dukatów, a tu jak na złość żydów jak mrowisko przed zamkiem się roi; to wyrzekł im: *Niebędę mośpanie dzisiaj golił, bo już brzytwy pclepiały, idźcie sobie z Bogiem.* To też mośpanie każdy żyd znał z tego pana Cześnika i bardzo go kochał, a kiedy wjeżdżał do miasta, zawsze na czele rabina z baldachinem, chmara żydów witała go przy rogatkach vivatami.

Raz się mośpanie zdarzyło w Opocznie, że jakiś z bachurów żydowskich przechodzącego pana Cześnika uderzył przypadkowo kamieniem w głowę, który tak się rozgniewał, że nakazał rabinowi wykryć sprawcę, i natychmiast do siebie dostawić. — Byłby może kazał go obatożyć i na temby się skończyło, ale gdy po kilku godzinach niewyśledzono żydziaka, pan Strzembosz do żywego obrażony, nakazał swoim nadwornym kozakom, bez pardonu samego rabina sprowadzić.

Już to było w nocy w Piątek, szabas zaszedł, a żydzi zgromadzili się na nabożeństwo, kiedy mospanie kozactwo, a było ich z regiment, a wszyscy zbrojno ubrani, przy pałaszach, pistoletach nabitych, wpadli do bóżnicy i parfors bez ceremonii, jeszcze w śmiertelnej koszali rabina sprowadzili.

Krzyk się mospanie rozległ po wszystkich ulicach. Opczha, żydy do mieszkania pana Cześnika gwałtem chcieli się dostać, sprowadzili burmistrza z miejskimi pacholkami, dali nawet znać panu Staroście; jednak mospanie wszystko to nie niepomogło, i jeszcze tem gorzej rozjątrono pana Strzembosza, który najuczeńszemu ich rabinowi, pół głowy, pół wąsa, i pół brody kazał ogolić, i tak jak nieboskie stworzenie odprowadzić nazad do bóżnicy.

Wtenczas to dopiero mospanie, było na co patrzeć, jak to żydziądka, niemogąc rozpoznać swojego mentora własnymi oczyma, podwójnymi okularami nosy kulbaczyli, a pla-

kali i modlili się gorąco, bo ciężko wystawić sobie łatwo do czego mógł być podobnym. Ale mospanie i panu Cześnikowi, nieuszło to na sucho.—Z biednym łapserdakiem co zrobił to zrobił, ale takiemu majnemorajnes obelgę wyrządzić, to było co innego, bo cała kalwakata żydów złożyła się na kwartę dukatów dla pana Starosty, i ten oskarżył pana Cześnika o gwałt przed Trybunał Piotrkowski, a pan Ignacy Strzembosz jak Bóg przykazał, musiał odsiedzieć na więzy dwa miesiące.

Jednakże miły Boże daj mi choć raz przed śmiercią w takim więzieniu siedzieć.—Kapela jego nadworna grała dniem i nocą, światła płonęły naokoło, butelki z malmazjami od ręki do ręki fruwały, a szlachty roje ciągle odwiedzali pana Cześnika.—I rodzina jego, to ciotki, to siostry, to i inne paniątka tam trafiły, i jak na reducie, tak się dobrze uhasały.

I jakież to było więzienie, pomyślisz waśc

sobie?.. to na to łatwo odpowiedzieć, bo jakby waszeć się nie gniewał, gdyby kto stawiał kamienie na jego gruncie, a potem ją mu darował, tak i pan Cześniak z wieży ratuszowej w czterech tygodniach salonę porobić kazał.

Kiedy się już kończył drugi miesiąc, pan Cześniak w sercu żałował, że tak porywczó, bez racyi a niesprawiedliwie obszedł się z rabinem, dla tego postanowił krzywdę jego wynagrodzić; a nakazawszy znowu hajdukom sprowadzić, ale z wszelką grzecznością, przy obecności wielu szlachty przeprosił, napoił jak się należy, i zapisał mu na dożywocie wieś.

Tak wspaniały czyn uzyskał przebaczenie u Izraelitów, i na czele tegoż samego rabina, powrócili do dawnych zwyczajów i wjeżdżającego pana Cześniaka witali z okrzykami radości; a kiedy umarł chinara żydów pospieszyła na dwór jego, ostatnią oddając mu przysługę, i razem z familią, przyjaciółmi,

i czeredą poddanych odprowadzili na smętarz, a widać było że go mocno żalowali, bo jak dzieci zawodzili.

Pan Cześnik choć sobie czasem pozwolił coś niedorzecznego, ale za to przeproszał i opłacał hojnie. — Biednemu a prawdziwemu szlachcicowi, jeśli mu się uniżył oddałby wszystko, bo taką miał ambicją. Przez całe życie swoje nikogo nieukrzywdził, nie był mściwy, nieludzki, za to też miał wiele przyjaciół, i ci sami żydzi co go na wieczny spoczynek odprowadzili, rok rocznie co wiosną na grobie jego kwiaty i drzewiny prześlizgane sadzili. — Dziś jeszcze w Opoczyńskim dobrze wspominają ludzie o panu Cześniku i nie jeden do Boga westchnie z prawdziwego uczucia. — *Panie świeć nad jego duszą.*

Tak to widzisz wasze, dobrych to i po śmierci żałują, ale ich mało na świecie, a o złych co nie miara, — to nikt i niewspomni, a jak się zgoda co do czego, to i słuchać nie miło.

Ja sam mospanie wolę takiego fanatyka
 a z dobrem sercem, co i wykrzyczy, i wy-
 łaje i czasem poturbuje, jeśliby za co było,
 a potem przebaczy, weźmie na swoją porę-
 kę, dopomoże i wykieruje na ludzi; — a ni-
 żeli takiego co ci i słowa nierzeknie gdy
 w czem poblądzi, a w duszy ma do ciebie
 żal, prześladuje, gnębi, uciska i nigdy, choć-
 by do śmierci niedaruje. — O! bo mospanie ta-
 ki człowiek, ma serce jadowite, dla tego po
 śmierci Bóg go nieprzyjmie do swojej chwast-
 ły, bo jęki nieszczęśliwych ludzi choć już
 na tamtym świecie, przeklinają duszę, i za-
 miast niezapominajek zasadzą głogi, jednak
 więcej mospanie zostanie pokrzywdzonych,
 niżeli cierni na jego grobie.

tylki po ogrodzie, żaden kot, żaden pies, na-
wet ławorzy mojej babki Kłuczek nie miał
odmienić spokoju.

Pamiętam jak dzisiaj, że pomigdy inną
służbę była stara szalarka Grzegorzowa i
stary lokaj Paweł, co się tak lubieli jak sół
w oku. Ja sam Grzegorzowem niewidziałem,
po mnie zawsze miał coś powiedzieć. — Pa-

4.
wieszku!... co to paniczek dokazuje!... powiem
babce... to paniczka do kurmiera każe znis-
kować, żeby ją z domu posadzili.

Objawienie Pani Boguckiej.

i jechał zenna to po trąsku, to po elhop-
sku, to po żydowsku, i grał mi na bandurce

Prawie od urodzenia *— rzekł do mnie pan*

Władysław z Lutosławic — wychowałem się

na dworze mojej babki ś. p. Tekli Boguc-

kiej. — Babka moja bardzo mnie lubiła, a ja

ją także kochałem, ale często *pater noster*

słyszeć mi się zdarzyło, bom był figlarz a

psótnik jak rzadko.

Kiedy jeszcze hałałem na drewnianym ko-

niku po murawanej posadzce, a goniłem mo-

tylki po ogrodzie, żaden kot, żaden pies, nawet faworyt mojej babki Kruczek nie miał odemnie spokoju.

Pamiętam jak dzisiaj, że pomiędzy inną służbą była stara szafarka Grzegorzowa i stary lokaj Paweł, co się tak lubieli jak *sól w oku*. Ja sam Grzegorzowę nienawidziłem, bo mnie zawsze miała coś powiedzieć. — *Paniczku!...co to paniczek dokazuje!...powiem babce...to paniczka do kurnika każe zamknąć*, a Pawełek i na kolankach posadził, i jechał zemną to po pańsku, to po chłopsku, to po żydowsku, i grał mi na bandurce prześlicznie Ukraińskie piosenki, i chuiстаł na rękach, to ja go za to kochałem i żebym był mógł tobym mu wszystko zrobić, coby jeno żywnie pragnał.

Nieraz bywało kiedy Pawełek z Grzegorzową jak się rozgadali, tak niemogli do końca trafić, ani się zrozumieć, to on przyszedł do mnie. — *Paniczku!...niech wotam paniczek co nowego zmysliła ta starą Grzegorzową,*

to ją na to, jak na lato; — i zaraz poszedłem
wyszukać burego kota, a kiedy zmrok nastął
uwiązałem go na sznurku kręciutko do po-
ręczy łóżka starej szafarki, i wsadziłem łeb
pod poduszkę. — Kot jak kot, kiedy mu się
sprzykrzyło, i to i kręcić się zaczął, i czasem
miauczyć, a Grzegorzowa nie wiedząc o tem
a mieszkając w samotnej izdebce, rozumiała
że to jakaś duszka potrzebuje ratunku, to za-
raz zapaliła świecę, wzięła starą biblią, uklęka
na środku komory i czytając Anioł pański, od-
mawiała Ojezenaśki i Zdrowaśki, a strasznie
się ulęka. — Albo gdy już na spoczynek się
kładła, i przygniotła burego, to dopiero była
galmacja, bo i Grzegorzowa nieraz ze stra-
chu o mało i niezemdlała, a moja babka, za
to kazała mnie wsadzić do komórki na cały
dzień o chlebie i wodzie. Nigdy do niej nie przy-
szedł.
Grzegorzowa lubiała tabaczkę sobie wár-
cić, a czasem i pozwolić do nosa pocią-
gnąć, to mnie z głodu, bo jak się na mnie za-
gniewała, jak na złość i zucheczka chleba na

podwieczorek niewidziałem — rozmaite kon-
 cepta się snuły, aby się zemścić na szafar-
 ce. — Raz powiadam do Pawelka. —
 Pawelku!... trzebaby tej starzej tabaczki
 nasypać. — Czy za to co paniczкови i podwieczor-
 ku niedaje? — Niechłomi jeio Pawełek węgli natrze.
 — To... to dobrze paniczku. —
 I ja się tylko zakręciłem koło Grzegorz-
 wój, już ściağnęłem z kredensu skórkówkę,
 i dalej przyniosłem ją na manewny do Pa-
 welka, i on sobie dobrą wysypał do swojej
 drewnianki, a za to napakował pełniusięńko
 samych węglowin i jeszcze z swojego do-
 myśłu ciemżycy namięszał. —
 Już to kanalja zmyślna ze mnie była. —
 Nigdy do niój nie poszedł tylko wieczorem,
 i w to samo miejsce wsunąłem skórkówkę
 tak żeby nie poznała. — Stara szafarka w do-
 brzej myśli chcąc sobie pociągnąć oniszek
 odrywa przykrywkę, a w tem wypada gwał-

townie dym węglowin.—Jak zaczęło niebo-
żatko kichać i kichać i kichać, to ja z Pa-
welkiem cośmy za cknem stali ledwie boków
niezrywamy.

Grzegorzowa z początku nie mogła się
dorożumieć i myślała, że Anioł Stróż takie
nawalie jej przyseła, ale jak się pokazała
do kuchni, to ją ludzie niepoznali, a każdy
się żegnał jakby od złego ducha.

Jak pomnę było raz około południa, słoń-
ce pięknie świeciło, aż się serce radowało
z takiej pogody, a ja sobie na dziedzińcu
płatam figle jak zwykle, i dziesięciu burych
kotów wiąże przy słupie na dziedzińcu.

W tem niespodzianie czarne chmury za-
szły, wiatr się zerwał, niebo się łamało, a
błyskawice i grzmoty nastaly.— Natenczas
babka moja ubrana jak zakonnica w czar-
nym habicie, w białym szerokim kapeluszu,
trzymając w jednej ręce dzwonek, a w dru-
gim krzyżyk wyszła na środek podwórza;

ja zaś puściłem kotów powiązanych, a sam do babki pobiegłem.

— Moja babciu co to jest?.. pytałem wskazując na dzwonek.

— To jest mój kochanku, bo tak mię nazywała, dzwonek Loretański.

— A to co moja babciu.

— To relikwie krzyża świętego... pocałuj je kochanku, i zaraz to uczyniłem.

— A na co to moja babciu?

— Oto widzisz mój kochanku Bozia się na ciebie zagniewał, patrzaj jaki czarny i jak krzyczy.

— A cóż ja winien moja babciu?

— Oto kochanku Grzegorzowej psoty wyrządzasz, straszysz ją, psów i kotów męczysz i ot patrzajże, ... kiedyś to teraz zrobił, zaraz za to Bozia łaje, i za ciebie kochanku muszę go przeproszać.

Zbladłem jak śnieg gdy mi to babka powiedziała, nogi mi ze strachu drżały, a sam niewiedziałem co odpowiedzieć, jednak czem-

prędzej polecałem do słupa rozwiązałem ko-
tów, a potem upadłem do nóg mojej babce;
przepraszałem ją i przyrzekłem, że więcej
czynić tego nie będę, a babka mnie przeże-
gnała relikwiami, i kazała je znowu poca-
łować. Później zaczęła dzwonić loretań-
skiem dzwonkiem, i święte relikwieje ku-
niebu podnosiła w tę stronę, gdzie nawałni-
ca się ukazała; a klęczała przez ten czas
najmniej pięć minut i gorąco się modliła.

Odtąd jak pamiętam, choć mi chęć cią-
gnęła do złego, zawsze się wstrzymywałem,
a babka za to więcej do mnie miała przy-
wiązania, i szafarka na każdą moją prośbę,
zawsze była dla mnie grzeczną.

Coraz dalej w las, to więcej drzewa, mó-
wi przysłowie, tak i zemną było. — W latach
starszych poszedłem do szkół, objęcie się
rozwijało, i nieraz, choć mi się i śmiać cheia-
ło przypomniawszy sobie szafarkę i moje
psoty, jednak żałowałem tego w duszy, i za

to później starałem się wynagrodzić, bo na każde Boże Narodzenie, albo Wielkanoc, przywiozłem jej zawsze funt najlepszej francuzkiej tabaki.

Ukończywszy szkoły powróciłem znowu na wieś do babki, a był ze mnie już dorostek pod wąsem i w głowie też nie źle było, bo ksiądz prefekt pijarów i księża profesorowie, pasami rzemieśniami naganiali rozum. — Wtenczas babka moja zdjęła ze ściany relikwie krzyża świętego i dzwonek loretański, postawiła na stole, i zaczęła mi opowiadać cuda.

— Mój kochanku kiedyś był malutki — tak zaczęła ś. p. nieboszka moja babka — psotnika drugiego znaleźć było trudno, i gdyby nie te święte moje relikwie, co się wiele do poprawy twojej przyczyniły, wzrosłaby razem z tobą chęć do złego, i byłbyś niekubiany i prześladowany od ludzi. — Dla tego podziękuj Bogu i jego wielkiemu miłosierdziu a pocałuj te święte relikwie, bowiem nietyl-

ko kochanku mają wielki wpływ na odpe-
dzenie złych myśli i czynów w człowieku,
i nie tylko ochraniają nasze okolice od na-
wałnic, piorunów i innych nieprzewidzianych
zdarzeń, ale jeszcze czarów (1).

Jest jeszcze żyjąca pani Starościna, a mo-
ja z młodych lat przyjaciółka, która dozna-
ła błogosławionych skutków tych świętości.

Pani Starościna do roku życia 50 była
zdrowa, rześmiana, czerstwa, na niczem jej nie
zbywało i była szczęśliwa, ale nieznajdziesz
człowieka na świecie, co by niemiął nieprzy-
jaciół.

Otoż widzisz mój kochanku, z kądsię licha
nadało, że jakaś stara garderobiana, wkrę-

(1) Jeszcze w połowie zeszłego stulecia, na-
sze niewiasty były nieomylnego przeko-
nania, że czary i czarownice są na świe-
cie i każdą starą babę na wsi lub cygan-
kę, jeśli jeszcze ziola dawała do leczenia,
za istotną czarownicę uznawano, i tak
jej się chroniono jak złego ducha.

ciła się do służby. — Próżniak baba ostatni, pijaczyna do tego, niewypełnia swoich powinności. — Pani Starościna namyśliwszy się a zapłaciwszy co jej należało, oddaliła w niespełna roku. — Ona jednakże tak się tem rozgniewała, że poszła do czarownicy, zapłaciła jej co mogła i prosiła, aby pani Starościnnie zadała jaką chorobę. — Jak się później okazało, że odprawiona garderobiana, wyniosła z sobą zwój włosów swojej pani, i razem z czarownicą prażyły je z ziołami rozmaitemi niepatelnymi, a odmawiały zaklęcia. I do tego doprowadziły swoją bezbożnością, że pani Starościna nagle i bez ratunku zachorowała, bo po niedługim czasie doktorzy odstąpili, a ona w okropnych eierpieniach ani nogą, ani ręką ruszyć nie mogła.

Święty panie! żeby to się dawne czasy wróciły, pierwszabym kazała spalić wszystkie czarownice!

Kiedy się tak dzieje, daję mi znać, że moja przyjaciółka już jest konająca i chce się

ze mną raz ostatni pożegnać. — Modłę się ca-
 ły wieczór, odmawiam koronki, litanie, au-
 tyfony, na intencją jej duszy, myśląc, że kie-
 dy doktorzy jej niepomogli, to ja choć się
 znam cokolwiek na lekach, tym bardziej ul-
 gi jej nieprzywozę. I pragnąc jak najrańiej
 wstać i pojechać do Starościńy na wieczne
 pożegnanie, kładę się za wczasu na spoczynek.
 Nad samym ranem mój kochanku, ukazu-
 je się mnie grzesznej Boskie objawienie, tak
 jakbym widziała na jawie. *szczęśliwość, miłość*
 Śni mi się że jestem w naszym kościół-
 ku na mieszporach. Ja klęczę na środku od-
 mawiam pacierze, a ksiądz pleban w kapę
 odziany z brewiarzem w ręku odczytuje gło-
 śno psalmy pisma świętego, i oprócz mnie
 i dobrodzieja, nikogo więcej niepostrzegam
 na nabożeństwie. — Już się ciemność wie-
 zorna wzmagała, świece słabo płonęły, na-
 reszcie gasną, a my się i tak w ciemnościach
 modlemy. — W tem przychodzi mi na myśl
 moja przyjaciółka starościńska, blada jak ścia-

na, wyschła jak szkielet, prawie konająca, wyciąga ręce z płaczem i żegna mnie uławsze. Mnie serce o mało nie pękło z żalu na to wspomnienie, upadam na ziemię i całuję krzyż pański, co leżał przedemną. TRANS
 Tak w śnie zostając rozrzewniona, czułam że mi ciężko na sercu, a nie mogłam się obudzić. — W tem niedługo slysze przecudną melodją organów, jakiejś nieznanej muzyki i śpiewów Anielskich, zdziwiona tem zjawiskiem, podnoszę głowę i spostrzegam w okolicy niebo najpiękniejsze lazurowe, obłoki, a w téj samej stronie gdzie Starościna mieszka, zorza brylantowa szklę się, niebo się rozstepuje, a na wozie ognistym pontyfikalnie ukazuje się Matka Boska, trzymając w jednej ręce palmę zieloną, a w drugiej Dzieciątka Jezus, w gronie niezliczonych Aniołów, którzy chorem pieśni nabożne śpiewali. Kiedy spuściłam wzrok na ziemię, niemając śmiałości podnieść oczu na tak cudowne objawienie, tylko mówiłam Zdrowaś Marja

litanie, — Najświętsza Panna stanęła przedemną klęczącą, a tak ją widziałem naturalnie jak ciebie, i wyrzekła do mnie głosem uroczystym:

— Błogosławiona niewiasto!... skoro świt jutrzejszy nastanie, kaź zaprzęgać konie, weź z sobą relikwie krzyża świętego, dzwonek loretański i jedź do twojej przyjaciółki jak najspieszniej, a tam trzy razy dotknij jej ciało temi świętościami i dzwoni loretańskiem dzwoniem, to ona powstanie i będzie jeszcze lat kilkadziesiąt zdrową i rzeźką. — W tem Najświętsza panna trąciła mnie palmą zieloną i zniknęła, a ja się w tej chwili przebudziłam kiedy jeszcze świtać niezaczęło.

Takie mój kochanku zwiastowanie wzięłam za pomyslną wróżbę, i tak się stało.

Przyjeżdżam do starościny i zastałam ją w okropnych cierpieniach. Wszystkie członki posztywniały i nieboga tylko tchnie.

Już ksiądz kapelan odprawia nabożeństwo za jej duszę i udziela ostatni sakrament, a

służba w żałobie i pan Starosta co ją kochał nad życie, zawodzi jak dziecko. — Tedy ja na wstępie rzekłam do nich: Pobożne a przywiązane do swój pani osoby, miejcie nadzieję w Bogu a wszystko odmieni. Miałam dzisiejszej nocy objawienie od Najświętszej Panny, że pani starościna powstanie z łoża boleści jeszcze dzisiaj, i będzie zdrowa na długie lata.

I ot temi samemi relikwijami — pocałujmy je kochanku z uszanowaniem a pokorą, co też uczyniliśmy, kiedym raz, drugi i trzeci przeżegnała, i dotknęła rąk i nóg starościny; — ona tylko głęboko westchnęła, i jakby co ciężkiego z serca zrzuciła, poruszyła ręką i nogą, przywitała się zemną jak najprzytomniej, a przykazawszy podać sobie klęcznik, wstała z łożka i odmawiała poranne pacierze w tejże samej chwili.

Dotąd mój kochanku starościna jest w najpożądańszem zdrowiu, często u mnie bywa, i niemoże się napłakać z wdzięczności, że m

ję zdrowię i życie przywróciła. — A to wszystko
 swiniana łasce i opiece Boskiej, i tych
 świętych relikwii. — Kiedy to powiedziała
 schroniła je do poświęconego futerału, goł
 wiśiat pod obrazem matki Boskiej bolesnej,
 potém uklękła przed nim z pokorą i zaczęła
 się w gorliwej modlitwie. — O! bo moja
 nieboszka babka była prawdziwie religian-
 tką, za ten ubogi nie zoszedł bez jej
 pomocy, włości swoich wspomagała, to
 radą, to lekarstwem, to pieniędzmi, dla
 tego też wszyscy życieby oddali za nią.
 Sąsiady kochali ją jak rolęzoną matkę, i
 każdy po radę i pomoc w każdej okolicz-
 ności przyjeżdżał, a ona nikomu nie miała
 się wymówić. — Ja sam jeszcze dzisiaj
 kiedy sobie o niej wspomnę, to mi łzy z
 oczów spadają z żalności, a bogac nie
 mam być wdzięcznym, wszak to wszyst-
 ko co u mnie się święci dobrodzieju, jest
 z paręki i opieki mojej babki. Przez całe
 życie swoje co można policzyć do feno-
 menu, nigdy nie słabowała, a docze-

kafa się lat 108 rzezka i zdrowa, i właśnie
 kiedy w swojej kaplicy msza się skończyła,
 ona natenczas usnęła jak dziecko, na zawsze
 Bogu duszę oddając z modlitwą na ustach,
 a ludzie co naówczas byli świadkami jęj
 śmierci, widzieli prześlicznego gołąbka bia-
 łego, co uleciał nad jęj głową, przebił się
 niewidzialny przez sufit i znikł w obłokach.
 Wieczny odpoczynek rącz jęj dać panie, a
 światłość wiekuista niechaj jęj świeci na
 wieki wieków Amen.

Po jęj śmierci, Grzegorzowój i Pawelko-
 wi co mi opowiadali moją młodość, do śmier-
 ci łaskawy chleb udzieliłem, i często tę hi-
 storją za przykład bogobojności i pięknych
 zalet naszych Polskich niewiast, przypomi-
 nam moim dzieciom!

Przebieg mospańie w każdym wieku i je-
szcze dawniej, i przedtem, żyli ludzie do-
brzy — Dobrym Bóg błogosławił, a złym za-
wzię się źle wiodło; a kogo reka Najwyż-
szego przesładowała, tego i ludzie niewi-
dzili, bo prawdziwie jest przysłowie, kto z Bo-
giem to i Bóg z nim.

Wielęto ja **5.** Właściwym przykła-
dów po ludziach, i nawet zamężnych, którzy ko-
żoła nie znali. **Pan Paweł.** A że braka nigdy nie wspomogli, jednak wo-

Gzy Wason myśli — *rzekł do mnie dziadek
pan Stanisław* — że i za mojej pamięci, nie-
bywało takich lekkomyślnych ludzi, co mar-
nowali pieniądze na rozpustę, pijatykę, a na
jedną kartę, ważyli cały majątek, nawet sła-
wę i honor. O bywało mospańie wielu bar-
dzo źle prowadzących się hulaków, boé to
i za dawnych czasów, niebyło wszystko
święte, choć lepiej Boga czcili... szanowali
a kochali.

Przecież mospanie w każdym wieku, i jeszcze dawniej, i przedemną, żyli ludzie dobrzy i źli.— Dobrym Bóg błogosławił, a złym zawsze się źle wiodło, a kogo ręka Najwyższego prześladowała, tego i ludzie nienawidzili, bo prawdziwe jest przysłowie, kto z Bogiem to i Bóg z niem.

Wieleżto ja sam widziałem przykładów po ludziach, i nawet zamożnych, którzy kościół nie znali, pacierza mówić niechcieli, a żebraka nigdy nie wspomogli, jednak woleli chulać, putać, birbantować, to jakoś i gospodarstwo marniało, i trzoda odpadała, a grady i nieurodzaje, czasem rok po roku nawiedzały jego zagrodę;—i do tego nieraz przyszło, że szlachcic przyciśniony nieszczęściami, musiał sprzedąć za marne pieniądze wiośszynę, i po cudzych kątach lub w mieście z resztkami gonił.

Już to zawsze tak się działo mospanie takiemu, kto nieumiał rządzić się uczciwie, a po Bogu. — Bo żeby szlachcic pilnował swojego

miana, przysporzał go w pocie czoła, a za to dziękował Stwórcy, i jego świątynią odwiedzał z pobożną intencją, a tam przypominał swoje błędy, unikał ich, toby było wszystko dobrze; — ale że to ludzie mało sobie wszystko wazą, nie patrzą co będzie jutro, tylko aby dziś było, dla tego wielu wy kierowało się z zamożnych na biedaków, i niedza aż po uszy daje się we znaki.

Nieraz szlacheć, choć nie miał potrzeby, to koniecznie jarmark odwiedzić musiał, bo tam znalazł znajomych, sąsiadów, przyjaciół, co go niemal na rękach nienosili, a jak niebożątka uplakali się z radości, że go widzą zawsze dobrym przyjacielem; — on też ująwszy się pod boki, to się puszy, to nadyma, to wasa kręci i okazuje swoją ambicją, mając pełną sakwę dukatów, co je w pocie czoła przez rok uciulał. Hej!.. Szlachta... Panowie... ze mną... Mości kupiec dawajcie nam wina!... essencyi... małmazji... i pozwolą sobie i jednę, i drugą i trzecią kolej, aż w głowie do-

brze zaszumiało. — Dalejże sobie i pogawędzą, i pobandurzą, ale wszystko nieobyczajnie, niestosownie, bezbożnie, jednak lepiej im to smakowało, jak kazania księdza dobrodzieja.

Kiedy sobie tak podochocą, około północy dalejże znowu do innéj zabawki, a karty najpierwsze mospanie zabierają miejsce.

Dawnemi czasy wioskę przegrać nie było nic szczególnego, i jak o tém gdzie wspomniano, to z taką obojętnością, jakbyś parę talarków dał ubogiemu; a karetę i konie na kartę stawić, choćbyś i piechotą do domu nazad przyleciał, to było to samo, co powtarzają codziennie, że dzisiaj pogoda, albo deszcz pada.

A honor mospanie wazyli zarówno ze złotem, i jeśli wyrzekł szlachcie że gra na tyle i tyle tysięcy pod słowem honoru że jutro przyśle, to niezawodnie dotrzymał przyrzeczenia, bo nieraz ubogi, wierzyciel, sługa lub poddany, nawet sam pan na życie nie miał

pieniędzy, a wszystko oddał za dług honorowy.

Miły Boże! żeby to jeszcze ten dług honorowy był na jakiś szlachetny uczynek, to by było bardzo pięknie, ale że na karty, to aż wspomnieć nie miło.

Czy waszeć myśli, że tylko w tych czasach znajdują się takie metry, coby duszę i ciało wygrać potrafili! — O! i za moich czasów nie bywali wszyscy ludzie głupcami. — Zawsze się taki znalazł matematyk, co umiał policzyć wszystkie worki szlachty w swojej kieszeni.

A takiemu alchemikowi dobrze bywało, bo choć tam kiedyś i chudym pacholkiem służył u jakiego magnata, ale jak przewidział świat i w Polsce i za granicą, to takię wyuczył się zręczności, żeby i djabeł nie poznał, co on tam za manewry wyrabia z kartami; i szlachty, co Bogu duszę winni, jeno patrzą pług i roli, tak pięknie oporzadzali, że nieraz szlachcie powróciwszy z jar-

marku i ciężko na sercu, i smutno w kieszeni,
i w domu bieda bywała.

Nieraz młodzik, co to jeszcze światła nie-
zaznał, a życie miał nieszczęśliwą do poch-
łanki i kartek, to namyślnie jeździł do Cze-
stochowy, dał na mszę, ołwotywę, i sumnę,
wyspowiadał się, aby będąc czystym i bez
grzechów szczęście mu służyło, nawet boje-
nie jak mężczyzny udzielał klasztorowi, iżby mu
karty zakompięć poświęcali. Jednakże mo-
spanie Pan Bóg błogosławi tylko czynny i my-
śli dobre, a z złymi przedsięwzięciami księga
niezaradzą. — Bo chcąc kogoś ograbić jest to
niecnotliwy zamiar; o ile taki choć miał i po-
święcone karty, zawsze natrafił na takiego
mechanika, co mu tak kurte skrajał, że nie-
borak z jarmarku w cienkiem zupaniku, po
śniegu sił ni rozcie, i chłodności głodu oklu-
sować bez grosza do domu musiał. Jakże
potem mospanie mógł być z takiego
człowieka i dobry mąż, i ołbry ojciec, i oby-
watel szanowany, kiedy jak się zaprawi za

młodu do złego życia, to na starość trudno mu odwyknać.

Młody jak młody jeszcze bym darował, ale jak już lata przychodzą, rozumu, to przecież potrzeba się upamiętać, i porzucić wszystkie bałamuctwa; — jednakże ja sam znalazłem u jednego szlachcica pana Pawła (1) z Kaliskiego, co ożeniwszy się zapalenie oddawał się temu ułogowi, i nawet własne dziecko postawił na karte. — Dla tego zatem, abyś Wason pojął to do głowy, co jest tak haniebnem, miał z tego przykład, a unikał złego życia, opowiem wasanu całą historją.

Pan Paweł oprócz żony, miał dwójdzieci syna i córkę. — Synek był malutki, bo dopiero sylłaby składał, ale córka była w siedemnastce, ładna jak aniołek, zgrabna jak tancerka, a świeża jak paczek róży, tak, że i spojrzeć na co było, i do kochania każdemu by serce zadrzało.

U pana Pawła dawniej i wioszczyzna by-

(1) Nazwiska mi niewymieniłem.

ła i jedła, i druga, i trzecia, i nie że jakoś w obywatelstwie miało się renomé, i każdy kochał i szanował go jak należało, ale ta nieszczęśliwa chętką do szulerki.. powoli powoli, cały majątek zrujnowała, a sam pan Paweł z żoną i z dziećmi z resztkami tułał się po świecie.

Wówczas pan Paweł nie miał przyjaciół, sąsiady go znać niechcieli, familia opuściła i każdy gardził nim sprawiedliwie, bo na to zasłużył.

Było jak pomnę w Jędrzejowie na jarmarku, a żadnego takiego zjazdu, pan Paweł nie miał serca opuścić, — kiedy jakiś filut, co szpakami był karmiouy, w zajezdnym domu założył bank faraona, a w banku leżało najmniej 50,000 dukatów.

Mieszkał on także w Kaliskiem, i pana Pawła jak jego familią znał dostatecznie, bo już od lat kilku zawsze się spotykali na jarmarkach, choć u siebie dawniej nie bywali.

Kto on był, co za jeden, i czy szlachcic, na

to potrzeba dopiero potwierdzenia, bo takiego nazwiska, jak był ten kartownik, w żadnym herbarzu Polskim nieznajdziesz, ani może i zagranicznym—Dosyć że ludzie, i tak i tak mówili, a nigdy pochlebnie niesłyszano o jego rodzie;—a z kąd miał zawsze pieniądze, kupował dobra, to także było nad czem głowę namozolić nimby się odgadło, bo choćby tak był nabożny jak świętoszek, a sam niepracował i nieoszczędzał, to mu przecież od Anioła Stróża pieniądze z Nieba nie spadną; on zaś mospanie tylko sobie ciągle wojażował po cudzych krajach, i zawsze przywoził worami dukaty.

III. Onego czasu, jak już powiedziałem, szlachta prawdziwa za hańbę by sobie poczytała, oddać swoją córkę człowiekowi, bez znaczenia w obywatelstwie i nieznaney familii, dla tego też i on choć tak bogaty, ożenić się u siebie nie mógł, bo na dworach szlachty nie miał wstępu, tylko przy kartach z lada jaką hołotą przestawał.

Więc jak rzekłem wystawił bank w Jędrzejowie z 50,000 dukatów. Każdy z młodzików skoro się dowiedział, o takiej wielkiej summie, choć tysiączek na szczęście ryzykuje... ale że to jak się przegra, ciągnie chętna odegrać, i tak tysiączek za tysiączkiem do pana bankiera fruwały, aż się wszystko wysupłało. Około półnoocy zkądś i pan Paweł się zjawił i mimo perswazyi, płaczu i molestowania swój żony i dzieci, koniecznie zachciało mu się z resztkami pokosztować szczęścia.

Z pana bankiera wielki musiał być mechanik, bo cóż to mospanie!... najmniej z piętnastu szlachty co do feniga oporządził, a już nawet pan Paweł z ostatniemi kilkoma kulfonami dogorywał, i tak mu fortuna niesprzyjała, że nareszcie konie, i powóz, i inne argumenta opuściły go na zawsze.

Widząc się być w okropnem położeniu, bo jutro żona i dzieci nie będą miały może i na pożywienie, a cóż dopiero dalej, a nie-

chcąc się pospolitować jakim awanturnieznym sposobem, wyrzekł do bankiera, w barbarzyńskim zapamiętaniu: — *Gram jeszcze na moją córkę!*.. Wielki Boże!.. mnie samemu jak to na pamięć przyjdzie, to aż się robi gorzko na sercu i lzy mi z żalości płyną. — Dostyc mój kochany że ją stawiał w 50,000 Złp. podpisał nawet weksel przy świadkach, że jeśli przegra, odda ją na drugi dzień, do wolnego z nią rozrządzenia.

Taki mospanie postępek wzbudził oburzenie w innych graczech, i ze zgrozą opuścili stolik, a on sam grał i przegrał, jak malinę tak miłą dziewczuchnę. — Natenczas bankier zamknął grę i wyrzekł: *Basta mości panie proszę o stawkę.*

Już dobrze dniało, pan Paweł dopiero się wytrzeźwiał po nocnej pijatyce i hulance, i dopiero poznał błąd nie do przebaczenia. Gwałtowna rozpacz serce jego zakrwawiła, i nienamysłajac się długo, chwycił za nóż co

leżał na stole, i w okropnych morderstwach odebrał sobie życie.

Otóżto koniec mospanie takiego marnotrawnika, a kartownika.

Święty panie błogosławim wielkie twoje miłosierdzie, że jakoś ludzie z postępem wieku codziennie się naprawiają.

Już w tych czasach mospanie niesłyszałem ani o takich awanturach, ani wypadkach; jednak dawniej wieleżto razy o uszy mi się obilo, że ten lub ów szlachcie ograny do grosza, wstydził się pokazać familii lub żonie, a niemając więcej funduszów na dalsze utrzymanie życia, i niebędąc śmiałym wyciągnąć ręki do jałmużny, połknął kulę pistoletową, lub poostrzył brzytwę na swojej szyi.

A wieleżto mospanie rodzeństwa przez takiego ojca w nędzy pozostało, bez opieki, bez majątku i bez nauki.—Panienci a córki szlachcica, co nieraz i z pierwszej familii kraju pochodziły, na marne wyszły, a synowie do

największych łotrów liczyć się mogli, i bańbę przynosiły swojemu imieniowi.

Tak to widzisz waszeć, kto niesłucha rad ani perswazyi starszych; kto sam nie może poznać siebie, swoich nałogów, swoich wad i przez cierpliwość a statek, nieochrania się od pokus, ten nigdy szczęśliwym człowiekiem nie będzie, bo u ludzi miru nie znajdzie, a u Boga łaski.

Ale jeszcze ci nieskończył jak się stało z przegraną córką pana Pawła.

Skoro się obywatele dowiedzieli o takim wypadku i losie pozostałej żony, wielu z godniejszych a litościwych, złożyli dla niej tak hojną składkę, że też kupiwszy kamienicę w mieście Kielcach żyła do śmierci w dostatku;—beźbożny kartownik zaś nieupominał się zupełnie o wygraną córkę, bo sam był w strachu, aby przypadkiem wnyków się niedoczekał od szlachty, umknął cichaczem z jarmarku,—a piękna Anielka, z swego moralnego prowadzenia się, dobrego serca, i

prześlicznej urody, zajęła bardzo wielu szlachetnych młodzieńców, a z pomiędzy nich, bogaty hrabicz polubował i z nią się ożenił; ceniąc więcej wartość jej cnoty, nad zamożniejsze w okolicy karjery.

Laska Najwyższego Boga że choć to niewiniątko, pokosztowało jeszcze szezęścia, bo za życia ojca nigdy go nieznało, jednak panie odpuść mu grzechy. — Jest już na tym świecie, to się nie godzi źle go wspominać.

Opowiadanie mojego dziadka o swatach
pana Starosty.

Góż ja to widzę!... rzekł raz jednego pan
Starosta do pana Macieja, byłego Regimen-
tarza nieboszczyka króla Augusta Sasa III,
a swego nateraz rezydenta... jakoś wasze
już lysiejesz... i czupryna zurawieje... i krzy-
żyki nos waszeeci pochyliły, a Asze nic niepo-
myśli o ślubnym kobiercu. — O do kroćset ty-
sięcy!... Wasze się zapomina, że śmieré a żo-
na, dla człowieka przeznaczona. —

Pan Maciej.

— Niema szczęścia miłościwy dobrodzieju.

Starosta

— Jakto?... czy już Aści odmówiła swojej ręki pani Podstolina.

Pan Maciej

— Prawda dobrodzieju... że u wdowy, chleb gotowy, ale nie każdemu zdrowy.

Starosta

— Więc Wasze już pudluje?

Pan Maciej

— Nieto to... nieto... jużby to już i człek się rozgrzeszył, na tę tam żeniączkę, ale pani podstoliny ciągle ceregiele, a kaprysy!

Starosta

— Nierozumiem waści... tłumacz się Aszcé jaśniej... przecież niedawnemi czasy slyszalem, że Wascinę intencją chętnie przyjmowała.

Pan Maciej

— Niekontruje miłościwy dobrodzieju, że

to może i bywało, ale jak tam jakieś lieho
wkręciło mliczatego swierzypałę, to pani
Podstolina mnie na dudka wystroiła.

Starosta

— Jakiż miała dokument aści odmówić?

Pan Maciej

— Ni to ni owo miłościwy dobrodzieju, ot
zwyczajnie stary nie tak jary, a młody...
toć to kordjał dla wdowótek.— Najprzód za-
częła ze mnie naśmieszki i rzekła: Jespan
prawił komplementa, że tak mnie miłujesz
izbyś wszystko dla mnie zrobił, cobym je-
no żywnie chciała.— Ja jespanu Bóg a pra-
wda bardzo wierzę, jednak chciałabym się
przekonać; i słodziuchno mnie zagadnęła.—
Mój kochany Regimentarzu, nigdy w życiu
niewidziałam Wieloryba, byłabym bardzo
szczęśliwa gdybyś go ułowił i mnie pokazał,
to ja jako Bóg a prawda Jespanu oddam
swoją rękę. — Na to ja z respektem odrze-
kłem: niech sobie asiendzika trefnisia do swe-
go dworu przyjmie, ałę nie z uczeiwego szla-

cheica faceeje czyni; a kazawszy zaraz osiodłać bułanka, co z łaski miłościwego starosty na imieniny dostało się, przystojnie się ukloniłem i pożegnałem Podstolinę na zawsze, a tak już i po konkurach.

Starosta

— Więc waszeci Wieloryba kazała ułowić... a to mi koncept nie lada!

Pan Maciej

— Ot to takie nawalie za szczere affekta.

Starosta

— Choć mnie się i śmiać chce z takiej krotchwili, ale jakem sodalis marjanus... (1) tak Waszeci być musi pani Podstolina, później sobie nadtem poradziemy, a teraz opowiem Aści podobną facecją. — Ale jakoś wartoby cokolwiek pokosztować argumentalnego kordjału, dla lepszego responsu, — a może i Waszec kubka nieodrzuć.

I stało się jako rzekł pan Starosta, a potem obtarł wąsy, pogładził czupryny, poło-

żył kilka polan drzewa na kominek, zebrał myśli do kolei i zaczął prawić.

Przed trzydziestu przeszło laty, człek się był i ożenił z gładką a bogobojną dziewczuchną. — Ba i mieć też w onczas niczego nie brakło, boć to już i dawne czasy jak to bywało. — Po ślubie pokochalim się serdecznie, a na dowód tego, w rok doczekałem się potomka dorodnego; — jednak ha!... stało się... za to Boskie nademną błogosławieństwo, podobalo się świętej jego woli, odebrać niedługo moją uajukochańszą Jaguchnę. — Przeszło lat 20 mospanie niemogłem zapomnieć jēj, bo to była pierwsza w życiu co się szczerze kochało; a gdy na jēj intencją, aby spokojnie w Bogu spoczywała, wystawiłem klasztor dla Karmelitów bosych, i kiedy codziennie pobożne modlitwy za jēj dusze moje chwile osładzały, — ślubowałem sobie nigdy już nieżenić się, ale mieć opiekę nad moim Wojtaszkiem. — Niedługo 27 lat liczył, już dorastał, potrzeba było i o nim pomyśleć, choć to

było wprawdzie zawczasu, ale ranne wstanie, a młode ożenienie niezaszkodzi, tak też i mojego dorostka, a kochałem go nad życie jak moją nieboszkę Jaguchnę, wozilem po okolicy.

W jaworowym dworze u pana Podkomorzego, była prześliczna białogłowa, liczyła może i to najwięcej dwudziestkę. — Już to mospanie jak mówią i do tańca i różaneą. — Usta jak maliny, włosy jak pela, a oczy jak ci dobrze życzę panie Macieju, niewiem do czego porównać, tak były rarytne, że i mnie staremu serce się rozmiłowało nie na żarty. — Nieraz pytam Wojtaszka: — Synu! Wojtaszku.. bywamy tu i owdzie, potrzeba przecież pomysleć... niemawa gospodyni... wszystko na marne idzie,... ja już może się i nieożenie...ale ty wybierz sobie przecież jaką dziewuchę po Bogu do pomocy. — A mój Wojtaszek w płomieniach, czapką oczy zakrywa, chowa się za kredens; — a choć to Boże odpuść już chłop pod wąsem, i głowa też niepusta,

bo nawet i poetykę i roterykę skończył u księ-
 ży Cystersów, ani mruturu na moje pytania.
 Jeździ i jeździ a najwięcej do dworu pa-
 na Podkomorzego. — Ja z boku uważam, że
 jakoś mój Wojtaszek z daleka smyrga ocz-
 kami do panny Maryi, ale przez sto przeszło
 naszych wizyt, ani razu się nie posunął z nią
 i kilka słów rozmawiać, chyba że ona sama
 zagadnęła. — Jakem zrozumiał mospanie, że
 i podkomorzanka nieobojętna była, bo naj-
 smaczniejsze kąski zawsze zostawiała dla
 mojego dorostka. — A trzeba waszeci wie-
 dzieć, że i pan podkomorzy był wdowcem
 i jego jedynaczka gospodarzyła swemu oj-
 cu. — Ja jakbym na to nie zważał, jak zgra-
 bnie młodzi na siebie patrzą, a że Wojta-
 szek nie chciał nic mi powiedzieć która mu
 w oko wpadła, na przekór paliłem kopercza-
 ki do panny Maryi, i często jaki dyskurs z af-
 fektami zrecznie mi się wyplątał z języka.
 Gagatkowi zaś menin tylko dzysię w oczach
 kłęciły i wzdychał jak nieboga turkawka.

żał mi go się nawet zrobiło, i postanowiłem niespodziankę dla nich urządzić.

Było to w karnawał, nie pamiętam którego czasu, jakieśmy razem z Podkomorzym z domysłu już natrafili, że mój synalek do panny Maryi ma nieomylną intencją, i że ona od tego niebyła, zatem uradziwszy, wyznaczaliśmy dzień sub sekreto na ich zaślubiny.

Onego czasu zjawił się doktor Pinety, którego zwano czarnoksiężnikiem, a jak piorun, tak szybko po całej Polsce... ba... nawet za granicą rozległy się jego cuda; a choć go nikt jeszcze nie znał, bo dopiero w Berlinie Niemców omaniał, jednak mospanie i u szlachcica kubrakowskiego, i na dworach naszych magnatów ciągle o nim rozprawiano, jak o jakim Antychryście.

Kiedyśmy pomieniony projekt ułożyli, dla większej okazałości tak wielkiego festynu, doktor Pinety co przybył wówczas do Krakowa, za sutą nagrodą został przezemnie do

dworu pana Podkomorzego zaproszony, o
czem ja i on w tajemnicy zachowaliśmy.

Nareszcie nadszedł ten dzień wyznaczo-
ny, a chociaż gości było jak nabił i wszy-
stko strojnie ubrani, jednak młodzi ani po-
myśleli o swoim szczęściu, i rozumiejąc
że to jest dzień imienia pana Podkomorze-
go, niekłopotali się nad przyszłym losem.

Panna Marja hoża jak aniołek, to przyj-
mowała w serdecznej gościnności przyby-
łych sasiadów, to starała się ich rozmową
zabawić, a i do mnie kilka słów wyrzekła:—
Ach panie Starosto jak ja bym też była ra-
da, gdybym tego sławnego czarnokieżnika
o którym pan kasztelan wspominał, choć
raz w życiu mogła kiedy widzieć.

Ażebym ja też kiedy do dworu pana Pod-
komorzego sprowadził odrzekłem.

Ach panie Starosto wszystkobyśmy uczyniła.

Wszystko—jak panna Marja kocha swe-
go ojca?

— Tak jest panie Starosto — a to się dzia-

to przy jej rodziem, i wielotnnych powaźnych
uratronach.

A gdyby też zagadnątem, jeszcze dzisiaj
się pokazał, czyli panna Marja oddałaaby
mojej personie swoją rękę?

Podkomorzanka mospanie niewiedziata o
tem, że Pinety w owym czasie już przybył
do Krakowa, a tym bardziej że dzisiaj ma
się tu znajdować, i myśląc że tam gdzieś
na koncu swiata nieboszezyków wskresza,
zaraz z naszniejszym na to przystała, i da-
ła słowo przy wszystkich, że dotrzyma obie-
tulicy.— W to mi graj pomyslałem, teraz się
przekonamy o ich affekcie ku sobie.

Dwór pana Podkomorzego na tę uroczy-
stość cały był lampami na około oświetlo-
ny, we srodku zaś sale, makatami i drogie-
mi kobiercami obite, a pajaki po sto świec
woskowych jarząco rozwidniały, przešli-
czne naszych niewiast twarzyczki, co zuko-
sa nie na jednego Cześnikiewicza, Stoluńkie-
wicza lub Miecznikiewicza strzelały, na co

bogobojnie matrony, chętnie poprawiając bogatych rubronów z serea rade były.

Niedługo kapela nadworna poloneza zachęcała, i cała kompania nieskończonego parami po salach stąpała poważnie; — w tem zadyszany oberżysta z płaczem daje znać pokryjomu panu Podkomorzemu, że spodziewany cudzoziemiec już przybył, ale nieszczęście się zdarzyło, bo chłopak co mu butzdej mował całą nogę urwał.

Pan Podkomorzy nie w ciemie bity, poznał zaraz że to Pinety, i jak mógł tak ułagodził zawodzącego oberżystę, a dając mu ubior pielgrzymski z długą lachą, nakazał aby tego podróżnego tak przystrojonego, przyprowadzono pod sekretem do dworu.

Kiedy brzmiały trąby, flety, puzony i waltornie, a rzeźkie chłopaki nie jednego już wyrwanca wykrecili, pielgrzym z siwą brodą, z długim kosturem a na jednej nodze, z boku z cicha się przypatruje.

Młodzież na starca mało zwraca uwagi, jedynie sędziwi wiekiem obywatele, dowie-

dziawszy się kto to był, z wielkim respektem około niego stanęli i nie jedną szklanicą starego wina uraczyli; — a dobrze podłożony Pinety, za skinieniem pana Podkormorzego cuda zaczął pokazywać.

W mospanie choć to był mroz jako rzadko, aż gąty trzeszczały, wszyscy goście usłyszeli grzmoty, błyskawice i pioruny. (2)

Na takie szczególne a zadziwiające zdarzenie, bogobojnie matrony, zaczęły *Anioł Pański*, kapela ustala, a młodzień w strachu zapomnieli o tańcach; — w tem niedługo na dworze daje się słyszeć okropna ulewa, i powoli przez ściany spływa woda po salonach.

Pani Cześnikowa.

— Święty Boże... święty mocny!

Pani Podstolina.

O tym czasie grzmoty, pioruny i już woda płynie. *Kto się w opiekę poda panu swemu.*

Pani Miecznikowa.

To już koniec świata — Wielki Boże zmiłuj się nad nami!

Pani Stolnikowa — O dła Boga... stańmy na stolki i sto-
ly... mężu... mężu zmiłuj się — ratuj.

Pani Komornikowa,
— Księża spowiednika!... przez litość
panie Podkomorzy!... księża spowiednika!

Pani Wojska.
— Już to ostatnia nasza godzina... *Zdra-
waś Marja...*

Kiedy tak zastraszone bogobojne niewia-
sty, w takiej turbaeyi zostają, ich dorodne có-
reczki pobladły jak ściana, a panna Marja
w nieopisanym żalu, wyrzekła coś z cicha
i padła omdlając na ziemię. — Zaraz pana Pi-
netego poproszono żeby zmienił swoje cza-
ry, i na powrót przywrócił jakbyło, a pannę
Podkomorzankę zaczęli eucić. Nareszcie
przywrócono ją do życia, a podochocona
szlachta z radością głośno wyrzeknęła. *Vi-
vat Pinety!* i panna Marja, znów po uszy
zapłoniona, przypominając sobie niebacznie
dane słowo, o mało drugi raz niezemdlała.

Wtenczas już dokumentnie przekonałem się, że to nie na żarty mój Wojtaszek wkręcił się do serduszka panny Podkomorzanki.

Niedługo wszystko przyszło do swego porządku, i ani znaku nie było gdzie woda pływała, bo to było mospanie omanienie, a cała kompania przywitała z radością kulawego pielgrzyma, jako sławnego czarownika, dopiero on jał swoje sprawy pokazywać.

Święty panie!.. aż się w głowie przewracało, co on za cuda wynajdywał. — Chłopak mospanie ledwie przydźwigał utwaną nogę, a gdy ją Pinety przyprowadził, natychmiast mu zrosła. — Chajdukowi co stół nakrywał ukreślił głowę, i jakby na delicje postawił na stole: — Z głowy jego tylko kiwnął, niedługo w łeb osta się zmienić, i taki dziwoląg do karku mu przylepił, a nieborakowi tylko coś ciężało, niewiedząc co się to dzieje, chodził jak opętany. — Wszyseysmy na to patrzeli i ledwie boków niepozrywali od śmiechu,

tylko niewiasty kiedy to uwidziały, żegnały się jak w kościele — za to pan doktor uraczył ich nowemi mawaliami, bo każdej matronie i ich dorodnym córeczkom, rozdawał jakby to lato było, tak świeże i piękne kwiaty, aż miło patrzeć.

Niby to z żartów upuścił dukata, a pacholiki zaczęli się rozbijać o niego: — wtedy on im wyrzekł: — Cicho bądźcie chłopcy zbierajcie co wam się podoba; — i jak zaczął wyjmować z kieszeni, a rzucić to chłopaki jak barany się przewracały i nazbierały pełne czapki dukatów, ale gdy wyszli na dwór porachować, wszystkie im gdzieś ponikły! — Na każde żądanie nie jednemu ze szlachty i ojca i matkę i babkę i prababkę w czarodziejskiem lustrze pokazał, i ja też moją najukochańszą Jaguclnę widziałem, i lzy mi się w oczach zakręciły; chciałem coś do niej wyrzec, ale pan Piniety bardzo tego bronił. Ktoś tam na utrapieniu pania Kasztelana, co na intencją duszy swojej nieboszki dawał

hojnie ją mążny zakonnikom, aby już nigdy
 nikt ten świat nie wracał; — szepnął na ucho
 panu Pińetemu, żeby mu ją pokazał. A gdy
 to uczynił i jeszcze głos dał się słyszeć, ja-
 koby jej byłasny, że nazad będzie mu ośla-
 dzać jego życie i powróci na ziemię — tak
 się ten pan Kasztelan zaambasował, że
 zapomniawszy się, ukląkł przy nas wszy-
 stkich przed tym widziadłem, i błagał ze łza-
 mi, aby spokojnie już w niebie królowała,
 a jego więcęj nie odwiedzała, i że nietylko
 wyfunduje klasztor z tej przyczyny, ale na-
 wet sam z pokorą do Boga za nią modlić się
 będzie. — Cośmy też w ówczas mieli za face-
 cję i śmiechu, tobyś Wasze nigdy nie dał
 wiary.

Pan Maciej.

— Znam ci ja już dobrze tego czarodzie-
 ja, wypłatał mi także nieładą figla, bo kiedy
 właśnie człek się zabierał do rabaniny, za-
 miast mojej szabli, wyrwałem zajęcze uszy.

— *Pan Starosta*. — A to ki znówu za lichó... ażeby w waszei taki dishonor robić... ażeby w waszei przy swoich...
 — *Pan Maciej*. — Dobrego jedynego...
 — Djabeł z nim poradzi, bo to oba braćcia, niech ani tam pan Bóg takie brewerje odpuści; — ale miłościwy Starosto nie usłyszałem końca...
 — *Pan Starosta*. — Ktoś...
 — Po sutéj kolacyi kiedy mój synalek i cka niezwrócił z Panny Maryi, jak i ona od tego nie była, sz uroczystą powagą przystąpiłem w raz z Podkomorzymi Pinetym i innemi panami i paniami, zagadnąwszy miiby na serjo. — Dała panna Marja słowo, że odda swoją rękę mojej persanie, jak i dzisiaj sławnego czarnoksiężnika zobaczy, jakom i przybrzekł, jest pan doktor Pinety, zatem proszę o rękę do ślubnego kobierca. — A panna Podkomorzanka nie uato nie odrzekłszy, zaczęła blednąć jak śnieg, chwiała się na nogach i bucha na ziemię bez duszy, a mój Wojtaszek

zaksztusił się od płaczu za stołem. — Zarazemy temu zaradzili, a gdy panna Marja usłyszała przy swoich nogach zawodzącego jak bobr mego jedynaka, jakoś cokolwiek odżyła oczki na niego otwierając. — Natenczas rzekłem do pana Pinetego: No panie doktorze, coś zaczął potrzeba skończyć — i on tylko kiwnął swoim czarodziejskim kosturem, a tu natychmiast spadły kobierce, ściany się rozstały, i ujrzelim prześliczną kapliczkę doświetloną, muzyka cudne harmonje wygrywała, a ksiądz pleban w kapie i stule, stał na schodach pontyfikalnie przed ołtarzem. — Ale to już panie Macieju nie było omamieniem, bo pan Podkomorzy, kiedy się drużyna bawiła, kazał tajemnie to wszystko urządzić, i na dowód tego mój Wojtaszek wraz z panną Podkomorzanką, w tej samej chwili przysięgli sobie do śmierci niezłomną wiarę. — A w on czas mospanie, jakie to ognie na dziedzińcu w górę wylatywały, jakie cyfry państwa młodych jarzące, i kołowrot

kiem prezentowały się, a jakie wivaty, a huk i moździerzy, to aż się ziemia trzęsła dobrodzieju.

Pan Maciej.

— Ja sam miłościwy Starosto, kiedy to słyszę, żal mi się robi, że niebyłem na tym festynie.

Pan Starosta.

— A to wszystko mój regimentarzu, i kosztą jakie były dla mojego jedynaka poświęciłem.

Pan Maciej.

— Ojciec kochając syna wszystko może odstąpić, ale ja pani Podstoliny takiemu świerczypale anibyć myślał.

Pan Starosta.

— Powoli Mości Macieju... powoli... Wasze za prędko... co się odwlece to nieucieczce. — Pani Podstolina chce Wieloryba, bardzo dobrze... niechaj rzeknie słowo, a Wieloryb jak gidja będzie jej sprowadzony. — Wszak już waści przyrzekłem moją prote-

keyą, a teraz już i ogień gaśnie, czas zmówić litanią do Najświętszej Panny i położyć się na spoczynek.

— Co też uczyniono.

Na drugi dzień, a była to niedziela, po rannej mszy, regimentarz w nowym świątecznym ubiorze, przystrojony jak należy, z karabelą przy boku, a wąsami sztywno uwóskowanemi, tak doskonale, że i bocian z respektem mógłby sobie spocząć, w raz z panem Starostą pojechali w swaty.

Minęli długi las, a za lasem bór, a za borem pole, nareszcie około południa w muirowanym dworcu, Pan Starosta ze swoim rezydentem pozdrowili panią Podstolinę.

Pan Starosta.

— Ściskam nóżki milej mi sąsiadki.—

Pani Podstolina.

— Wielce obowiązana jespau Starościu za jego miłościwą pamięć.

Pan Starosta.

— To mi honor sprawi wiedzieć o jej zdrowiu.

Pani Podstolina.

— Zdrowa do usług jespana Starosty, ale smutno mi jest, bo sąsiada dobrodzieja rzadko w mym domu oglądam, i nawet jespau regimentarz zapomniał już o mnie.

Pan Maciej.

— Niski sługa... nie jest tyle śmiały, bo jeszcze nie dopełnił żądanej formalności.

Pani Podstolina.

— Szkoda wielka... jespau w wielkiej turbacyi, ale jakby się to załatwiło, ja jespau jako Bóg a prawda.

Pan Starosta.

— Pewnie to tu chodzi o Wieloryba.

Pani Podstolina.

— Tak miłościwy sąsiedzie, jespau regimentarzowi tego artykułu jeszcze zabrakło.

Pan Starosta.

— A gdy też mój przyjaciel przyprowadzi żywego Wieloryba do dworu pani Podstoliny, czyli Asendzika nie odmawia jemu swojej ręki?

Pani Podstolina.

— Nieodmawiam jako Bóg a prawda.

Pan Starosta.

— I mościwa Podstolina daje na to słowo

Pani Podstolina.

— Daje słowo jakem katoliczka.

No kiedy tak pomyślał starosta, trafił frant na franta, ale mu wytnie kuranta.

Po sutym obiedzie, na którym jeszcze po nieboszczyku Podstolim znajdowały się zapleśniałe butle starego Węgrzyna, pan Maciej ucieszony, że pan Starosta dla jego miłości, pewnie do morza Atlantyckiego poszle po Wieloryba, marzył rozkosznie w obszernej landarze powracając do domu.

Przed kilkoma tygodniami nim to zdarzenie miało miejsce, braciszek z klasztoru bernadynów, który właśnie w jurisdikcyi majętności pani Podstoliny exystował, szedł za kwestą po okolicy, i trafił do dworu pana Starosty.

Pan Starosta człowiek bywały, lubiał za-

wsze z każdym gawędkę prowadzić, jakoż i tegoż mniemia zapytał:

— Zkądże Wasze rodem?

— Ze wsi *Morza* z Poznańskiego dobrodzieju.

— Do kogóż ona należy?

— Do pana Hetmana koronnego.

— Jakież wasze miano?

— Bonawantura z zakonu miłościwy dobrodzieju.

— Ale z rodzica.

— Mojego ojca zwano *Wieloryb* i jam też tak ochszeczony.

Opowiedział Starosta po przyjeździe do dworu powyższą historją panu Maciejowi, a ten lubo niedawał wiary z początku, aby to jakoś przyszło do skutku, jednak jak jego protektor, raz jeszcze zrobił pewną mu nadzieję, ucieszony pan rezydent z wielkiej wdzięczności, wychylił pół gąsiora starego tokaju za zdrowie swego dobrodzieja.

W kilka dni posłano do Warszawy, do

uczonych majstrów, aby zrobili łuskę rybią w podobieństwie wieloryba, biorąc miarę na najtęższego człowieka, bo nasz braciszek z olbrzymem mógłby się porównać.

Kiedy już wszystko było gotowe do tój krotchwili, pan Starosta na kilka dni pierwej zawiadomił o swym przyjeździe, z rezydentem i Wielorybem, którego do gotowej torby, jak sieczkę do woru wsadzili.

Pani Podstolina lubo już w leciech osoba, z początku rozumiała że to żarty, ale jak spostrzegła na drugi dzień kalwakatę powozów i służbę nadworną pana sąsiada, wiele się zaambarasowała, aby z Wielorybem jakiego wypadku nie było, bo jak jój mówili, że i okręty przewraca, i ludzi lubi smakować, bardzo się była wylękla; a odmówiwszy koronki i litanie, dla lepszego bezpieczeństwa posłała po księdza plebana, ojca gwardjana, ojca spowiednika i ojca kaznodzieję do klasztoru Bernardynów. — Nim oni przybyli nadworne hajduki pani Podstoliny, zastąpiły dro-

ge panu Staroście z głęboką prośbą od swęj pani, ażeby tak blisko do dworu z wielorybem niedojeżdżono; — co usłyszawszy pan Starosta puścił się sam na karym do dworu, i zapewnił z kretesem panią Podstolinę, że ten Wieloryb jest bardzo łaskawy nawet mówić mnie. — Ufna w słowo pana Starosty zezwoliła na to, i przywieziono nieboraka braciszka tak zatarassowanego, kładąc go przed oblicze pani Podstoliny i przewielebnych dobrodziejów.

Ojciec gwardjan, co to bywał jeszcze za morzem na missyonarstwie, miał ten honor oglądać raz wieloryba; i zaraz odpowiedział patrząc się na ten dziwoląg, że jest z łuski podobny, ale cokolwiek za mały.

Za mały powiada wasze, zawołał Starosta, — Hej mości Wielorybie podnieś się!...

I ojciec Bonawentura, jak mógł zadyszany kręcił się po sali, i nareszcie odplątał ze środka węzłki, a wygramoliwszy się z tego labiryntu, stanął w habicie wypłowiałym przed całą kompanią, niby wielki dąb.

Ojciec Gwardjan.

— Jakem gwardjan to Wieloryb.

Ojciec Spowiednik.

— To istny Wieloryb.

Pani Podstolina.

— Co wam się dzieje dobrodzieje... żywie Bóg to istny bernardyn.

Ojciec Kaznodzieja.

— Istny bernardyn nasz laik, ale go zwią Wielorybem.

Xiądz Pleban.

— Nawet podobno z Morza rodem.

Ojciec Gwardjan.

— Taką ma metrykę.

Pan Starosta śmiejąc się.

— Więc stało się zadość woli miłej mi sąsiadki.

Pani Podstolina.

— Bóg a prawda z jespána panie Starosto straszny figlarz, tak mnie strachu nabawić.

Pan Starosta.

— Zatem słowo mamy miłościwej Podstoliny.

Pani Podstolina.

— Coż mam robić z jespaniem sąsiadem, niechaj się stanie jakom rzekła.

I pan regimentarz widząc dobry homór padł jak długi do nóg pani Podstoliny. Że zaś młody świerczypała jak go rezydent starosty nazywał, smalił cholewki do urodnej panny kasztelanki, a zapomniał o dawnych konkurach, zatem i pani Podstolina niedługo się wzdragala, i z respektem pana Macieja przyjęła do swego dworu, jako małżonka na wieczne czasy;—i tenże ojciec Bonawentura Wieloryb, co nawożencowi tyle dobrego uczynił, w wielkiem był poszanowaniu u męża pani Podstoliny, a opuściwszy zakon, do śmierci miał przyzwoity przytułek pełniąc obowiązki Podstarościego.

Kiedy nieraz się zdarzyło, czy na sejmiku, czy na jakim zjeździe, lub konfederacyi,

pan Starosta w swoim protegowanym, a dawnym rezydencie, znalazł na zawołaniu zawsze wiernego przyjaciela i obrońcę, wraz z całą jego służbą.

Takiemi to sposobami kończąc dykteryjkę, prawił *mój dziadek pan Stanisław*, zjednywali sobie magnaci przywiązania i szacunek, uboższej braci szlachty i swoich rezydentów.

PRZYPISKI.

(1) Taki tytuł każdy sobie nadawał, kto był wpisany do bractwa różańcowego Najświętszej panny Maryi.

(2) Podobne czarodziejstwa o Pinetym, jak jeszcze dalej pan Starosta będzie prawił, ludzie w wieku sędziwym opowiadają z takim zapewnieniem, jakby sami widzieli, lub słyszeli od wiarogodnych osób.—Ja jeszcze trzy zdarzenia słyszałem oprócz wielu innych, które do nieboszczyka Pinetego potrzeba posłać o potwierdzenie.

Pierwsze. Kiedy się Pinety rozgniewał na swego ucznia, i natychmiast kazał mu się od siebie oddalić, niechając już go nigdy na oczy widzieć, klęczącego u nóg swoich i z płaczem zebrzącego przebaczenia, Pinety tak miał swoją sztuką otumanić, że biedny chłopczyzna znalazł się gdzieś w nieznanej krainie, i zamiast jego nóg trzymał drzewo cyprysowe.—*Drugie.* Miał podobno Pinety o jednej godzinie i tejże samej minucie, wyjeżdżać wszystkiemi ro-

gatkami z Berlina, z kąd rozgniewany na niego Monarcha natychmiast kazał się wydalić. — *Trzecie.* Życzył sobie Pinety odmłodnieć, i dla tego nakazał swojemu uczniowi posiekać się na drobne cząstki, i przez 7 lat 7 miesięcy i 7 dni, trzymać jego ciało w beczce na to przez niego wybranój i zaczarowanój, niechybiając ni minuty czasu, po którym to terminie miało się zrosnąć i zmartwychwstać; — jednak uczeń nieuczynił zadość jego woli, a nieboszczyka Pinetego najpewniój na ostatcznym sądzie zobaczymy. — To podanie zupełnie jest podobne, do podań historycznych o sławnym czarnoksiężniku **Twardowskim.**

dzierżenie i pan brał roboty, a Czesnik korn-
ny z p. Króla Augusta Sasa III. powiadał go-
spodarza domu.

Pan Kapitan na respekcie u pana Staro-
sty, co to był walczył jeszcze w lańcu ze Szwe-
dami za ojca nieboszczyka króla, przywdzia-
wszy ubiór galowy, oddał czelobitność pa-
nu na Gronostajach; i pan Starosta tak-
że czem mogła na przedce urechlił i rzucił,
przewdziała bogaty i przydrogie pierście-

W i d m a.

Wniurowanym dworze, a dwór stał wyso-
ko na wzgórzu, tak że i milę na około wi-
dzieć można było; siedział przy rozpalonym
komiuku pan Starosta siwego wieku, pobo-
żny, gościnny, ludzki; rębak dzielny, strzelec
jak rzadko, nieraz kawał zawałjaka, a nigdy
nie wierzył w upiory, widma i duchy, bo ich
nigdy nie widział.

Było to w jesieni w Piątek nał wieczor-
rem, kiedy ozdobna bąbka zatoczyła na dzie-

dzieniec i pan brat rodzony, a Cześnik koronny ś. p. Króla Augusta Sasa III, powitał gospodarza domu.

Pan Kapitan na respekcie u pana Starosty, co to bywał jeszcze w tańcu ze Szwedami za ojca nieboszczyka Króla, przywdział ubiór galowy, oddał czolobitność panu na Gronostajach; a i pani Starościna także czem mogła na przedce utrefiła fryzurę, przywdziała bogaty rubron, drogie pierścienie, i swoje dziewuchny, gładkie jak jabłuszka, a ładne jak gołąbki, ukazała przed panem szwagrem.

Niedługo stary sługus Mateusz, faworyt i poufalec pański, co to jeszcze z świętej pamięci rodzicem pana Starosty jeździł na kunkury do panny Podkomorzanki, okrywał stół dębowy kosztownym obrusem i stawiał słodziutki kordjał.

Kiedy sobie zasiedli niedaleko kominku, miodek popijając, a ogień buzował płomieniem, nuż do gadki jak na wsi.

P. Cześnik.
 Miły panie bracie naumyślnie przyjecha-
 lem powitać Waszeci i donieść, że Bóg ja-
 kós nas karze za grzechy.

P. Starosta.

— Święty Panie!.., cóż znowu nowego?

P. Cześnik.

— Wczoraj w nocy na moim zamku, słu-
 żba już dobrze spała, kiedy coś, a Bóg wie
 co, trzy razy o północy klamką ruszyło, a
 potem stuku, puku, i to z strasznym hukiem,
 przyszło do mego łóżka... to koldrę ze mnie
 zrucilo... to poduszkę z pod głowy wycią-
 gnęło... to mnie popehnęło, a ja i temu nie-
 moge wydobyć w myśli odmawiałem koron-
 ki i litanie.

Pan Starosta.

— To mucha dobrodzieju... to się śniło
 panu bratu.

Pan Cześnik.

— Ale jak Bóg w niebie tak było, nawet
 na drugi dzień kazalem przy sobie uocować

podstarościeniu, kucharzowi, lokajowi, dwóm drabom, a drzwi dobrze zaryglować, i oni to wszystko słyszeli; a ze strachu w kąty się powciskali i słowa nierzekłszy, jak trusie *Anioł Pański* szeptali, to zaś djabelstwo, jakby na karę pana Boga nigdzie nieprzyłażło tylko do mnie.

Pani Starościna.

— *Wszelki duch pana Boga chwali... Zdrowaś Marja łaski pełna...*

Pan Starosta.

— Mucha dobrodzieju... to i im się moSPANIE zdawało... ale przecież nie niewidzieli?

Pan Cześnik.

— Jakem żyw panie bracie tak widzieli, że coś takie jak olbrzym, miało oczy jak świerczki iskrzące, a ręce jak skrzydła nietoperza. — I to panie bracie w parę dni na swoim miejscu kazałem spać podstarościeniu co był śmielszy, a sam położyłem się gdzie indziej, a to straszidło zamiast do niego znowu do mnie trafiło.

Już człek odmawiał i pacierze, i antyfony i kto się w opiekę, dał nawet niewymawiając Bogu na sumnę i wotywę dla księży Cystersów Wąchockich, a nie i nie nieskutkowało; aż mój owczarezyk trafił porozum do głowy, za co dostał odemnie stary żupan i urząd koniuszego, aby na kominie dniem i nocą ogień palić, a święconą wodą kropić podłogę; i jakoś od tego czasu, ani hurgotu, ani stuku, ani jęku, bo czasem strasznie zawodziło już niesłychać.

Pani Starościna.

— *Wieczny odpoczynek racz im dać panie a światłość...*

Pan Kapiton.

— A może to dusza nieboszezyka podstolego, szuka ratunku na tym świecie, bo wiele za życia nabroiła.

Pan Cześnik.

— Prawda, że pan podstoli był nieludzki mściwy, chłopów strasznie kazał batożyć, więzić, nawet wieszać, żydów bez sądu za-

bijać za lada co, ależ pan podstoli jak umarł
 będzie temu około dziesiątka.

Pan Starosta.

— To mucha dobrodzieju, ja temu nie-
 wierzę jaby'm w tym przypadku moją kor-
 delicę zatrąbił stracha. — Co to mo'spanie że-
 by ucziwemu człowiekowi spoczynku nie-
 dało, niechnoby dobrodzieju na mnie się to
 odważyło.

Mateusz co stał za stołem.

— Ej panie!... nietrzeba blaźnić przeciw
 Bogu, bo i pan Starosta kiedy pożałuje. Ja
 panie nigdy jeszcze nie widziałem, ale
 wierzę, że strachy są na świecie, bo bywa-
 ło, jak mnie opowiadała i na wszystko za-
 klinała się moja babka, że ją jakiś mały
 piesek zaprowadził na takie bagna, kałuże,
 błota, kiedy sama piechotą powracała z jar-
 marku a przecież wtenczas nie spała, że na
 drugi dzień ledwie wygrzebała się z trzęsa-
 wicy, a panie zmiłuj się!... jak powróciła do do-
 mu, to ją ludzie nie poznali.

Pan Starosta.

— Bo sobie Mospanie pochmielila i tak jej się widziało.

Pani Starościna do męża.

— Ej kochanku!..widać że nie bywasz wkościele, przecież nasz dobrodziej na kazaniu powiedział, że kto wierzy będzie zbawiony, a kto niewierzy będzie potępiony.—Ej Jakubku!.. upamiętaj się, przecież to jest tak jasno jak słońce, kiedy pan Cześnik opowiada i jeszcze są na to świadkowie.

Pan Starosta.

Ale moja ty turkaweczko... przecież już żyję chwała Bogu, a będzie na przyszłe narodzenie pańskie sześćdziesiątka, a jeszcze nie niewidziałem i niczego się nieboję, bo mam czyste sumienie.

Pani Starościna.

— Toć i nasz pan brat Cześnik, niezasłużył na tę karę od Boga, a zsyla ją na umartwienie i próbę dla chwały swojej. (1)

Mateusz.

— A bywało jak babcia moja opowiadała, że dusze nieboszezyków łażąc po ziemi, szukają enotliwych ludzi, a niemogąc nie mówić, rozmaicie bogobojnych straszą, aby pacierze za nich mówili.

Pani Staroscina.

— *Anioł pański zwiastował pannie Maryi...*

Pan Starosta.

— Bajki dobrodzieju, ja temu wiary nie daję, pierwszybym krzyknął..hola..stój..Mospanie!...

Mateusz.

— A bywało jak nieboszczka moja babcia prawifa....

Pan Starosta.

— Dajno wason pokój z temi historjami, już mnie wason gniewa.

Pan Cześnik.

— Albo panie bracie te światelka, co to po łąkach latają, to coś wtem być musi?

Pan Starosta.
 — To mucha dobrodzieju... to są robaczki fruujące co świecą.

Pan Cześnik.

— Nie panie bracie... to są duszki jeome-
 trów co nieuczciwie za życia mierzyli pola,
 za to wszystkie wieki będą pokutować na
 tym świecie; a tym podobno mosanie wara
 od zamków, tylko po łąkach i polach latać
 bez spoczynku. (2)

Pan Starosta.

— Bajki dobrodzieju, ja temu nie wierzę,
 i żadnych strachów, ani upiorów się nieboję,
 niechmoby który chciał dobrodzieju zemną
 zaigrać.

I tak do ciemnego zmroku bandurzyli o
 widmach, strachach i upiorach, a panu Sta-
 roście choć nieustraszonemu, jakoś i ckliwo
 było, bo wszyscy na jednego to i djabeł by
 nieporadził, zatem cokolwiek i te gadki gło-
 wę mu zakręciły.

— Po kolacyi pan Cześnik koronny pożegnał

brata, i kołysząc się w złoconej białce zajechał na swój zamek, a pan Starosta z panem Kapitanem przed kominkiem zasiedli do gawędki.

Ze dworu jak się już rzekło, na miłą wokół było widać okolicę, a okno sypialnej komnaty pana Starosty wychodziło na rozległy las, gdzie tegoż samego dnia żydzi powracając z jarmarku, a niemogąc dojechać do domu przed szabasem, bo już gwiazdy świeciły, rozłożyli ogień na polu pod same mi krzakami i tam jedni kartofle piekli, a drudzy włożywszy śmiertelne koszule i kubraki na głowy, kiwając się odmawiali pacierze. — Widok to był straszliwy a osobliwie dla człowieka świeżo napojonego strachami. — Płomienie się wznosiły, to znów opadały, a białe upiory pomiędzy nimi, to się powiększały, to zmniejszały, to znów się przybliżały ku ogniewi, to oddalały.

Pan Starosta pożegnawszy się z panem Kapitanem, udał się do wspomnianej kom-

naty i zamierzał ledz na spoczynek, jednakże za ledwie spostrzegł na własne oczy, tak przerażające widziadło niejął się swoim zwyczajem do kordelicy, ale jak kokoszka ukląkł, złożył ręce, przeżegnał się raz, drugi i trzeci, zaczął *Anioł Pański*, potem *kto się w opiekę*, nareszcie *litanią do Najświętszej Panny*, a widząc że upiory nieustępują, w gwałtownej niespokojności, prawie bez tchu; zaczął się udawać do pomocy swoich domowników, — i macać piersi szturgańcem.

Pan Starosta.

— *Boże bądź miłościw mnie grzeszemu... panie kapitanie... kapitanie! ojciec nasz któryś... żono!... jest w niebiesiech... żono ukochana ratuj... święć się imię twoje... Mateuszu!*

Pani Starościna.

— *Cóż tam takiego... cóż się stało?*

Pan Starosta.

Zdrowaś Marja łaskiś... a patrzaj no tam

oto na prawo... pełna pan z tobą... pod
samemi krzakami w lesie... czy widzisz?

Pani Starościna.

— *Święta Marja Częstochowska zmiłuj
się nad nami!...*

Gospodyni domu.

— *Święty Antoni Padewski przycegnij
się za nami.*

Pan Kapitan.

— A prawda, prawda panie Starosto... to
to jakoś nie mucha dobrodzieju.

Pan Starosta.

— Oj! nie mucha dobrodzieju... *Boże bądź
miłościw...*

Mateusz.

To upiory jasny panie! a niedaleko smę-
tarz, pewnie nieboszczyki z grobu na tańce
powstały.

Stary Kucharz.

— *Wszelki duch pana Boga chwali...
W Imię Ojca i syna...*

Pan Starosta.

— *Boże bądź miłościw mnie grzesz-
mu — Boże bądź miłościw...* panie kapita-
nie!... poczciwy... ty masz najwięcej odwa-
gi... *Święty Boże święty mocny...* weź ko-
nie... i karete... *święty nieskończony...* i jedź
po dobrodzieja.

Kiedy wszyscy klękęli, a pacierze odma-
wiają, za przykładem pana Starosty, co zie-
mie całował, płakał, a szturgał się kulakiem
w piersi; pan kapitan przylepił do boku ko-
sturek cienki żelazny, (3) kazał konie do lan-
dary zaprządz i pojechał na plebanią.

Niedługo i dobrodziej z święconą wodą
kropidłem, odziany w kapę z sutanną pod
spodem, w asystencyi organisty, zakrysty-
ana i dzwonnika, przybył do dworu starosty.

Pan Starosta.

— Ojczy dobrodzieju przypatrz się.

Pleban klękając.

— *In nomine patris et filii et spiritui
sancti...* a dawno jak to widziadło ukazało się?

Pan Starosta.

Amen... Niedawno dobrodzieju coraz więcej się mnoży... to znowu znika.

Pleban kropiąc wodą klęczących.

— *In nomine domini per misericordiam tuam miserere nobis.* — Módlmy się bracia moi, bo może to dusze potrzebujące ratunku i pójdźmy wszyscy razem do tego widziadła... jednak panie Starosto, lepiej byłoby gdyby można sprowadzić ojców Bernardynów.

A skoro to wyrzekł natychmiast pan Starosta, nakazał swoim nadwornym kozakom w towarzystwie pana kapitana, poprosić pobliskich zakonników. — Już było około północy, i już księża, choć z armat strzelają nieusłyszą, bo tak twardo zasypiali; — zaledwie ojciec furtian przebudzony gwałtownem szturkiem, rozwarł oczy zaklejone i poszedł jak najspieszniej dać znać gwardjanowi i wszystkim braciom. I niedługo w uroczystej processyi pówoluie postępując parami, z za-

palonemi gromnicami w jednej, a brewiarzam w drugiej ręce, w zatulonych kapturach, mając na czele siwiuteńkiego ojca pałę z krzyżem konwentu, postępowali ku dworowi; a we dworze była ciągła trwoga, i tylko modlitwy i pacierze odmawiano.

Pani Starościna do Plebana.

— Ojciez wielebny, a może to mój mąż zgrzeszył bo niechciał wierzyć w cuda Boskie, i jego gniew sięga nasze okolice.

Pleban.

— Czy to prawda panie Starosto?

Pan Starosta płacząc.

— Prawda wielebny dobrodzieju.

Pleban.

— Potrzeba zatem panie Starosto wyświadać się i błagać Boga o przebaczenie.

Kiedy ksiądz proboszcz rozgrzeszał rzewnie płaczącego pana Starostę, niedługo grobowy śpiew zakonników dał się słyszeć, w oddaleniu światła zapłonęły, i wkrótce mniemy w progi gmachu wstąpili.

Pleban.

— Patrzcie fratres tam na prawo.

Ojciec gwardjan klękając.

— Sanctus... sanctus... sanctus deus...
miserere nobis.

Ojciec kaznodzieja.

— To grzeszne dusze ratunku potrzebują.

Ojciec kanafasz.

— Wszelki duch pana Boga chwali— to
zesłanie Boskie.

Ojciec lektor.

— Może bez spowiedzi i przyjęcia sakra-
mentu poumierali.

Ojciec Gaudenty.

— A może to sąd ostateczny... módlmy
się bracia—*In nomine patris...*

Ojciec Pankracy.

— *Pater noster qui est in Coelis...*

Ojciec Bonawentura.

— Kazać potrzeba dzwonić we wszystkie
dzwony.

Ojciec Gwardjan.

— Odprawić mszę żalobną w kaplicy pa-
na Starosty za dusze zmarłe.

Pleban.

— Oto pójdźmy bracia moi do zjawiska,
a tam im ratunku duchownego udzielimy.

Ojciec Gwardjan.

— Zapalajecie wszystkie gromnice... po-
święcajcie pochodnie... nakażcie w dzwony
i dzwonki dzwonić... i z szczerą intencją, a
modlitwą na ustach wychodźmy.

Pleban.

— *In nomine patris et filii et spiritui
sancti.*

Wszyscy bracia.

— *Amen.*

Pan Starosta natychmiast kazał zwołać
gromadę ludzi, służbę nadworną, wszystkich
swoich pacholków i w uroczystym pocho-
dzie z zapalonemi gromnicami, pochodniami,
przy odgłosie dzwonków i dzwonów kościel-
nych, śpiewając psalm *kto się w opiekę po-*

da panu swemu, wyszli ze dworu murosowanego; a sam pan Starosta z własnego instynktu dla przeblagania Boga, postanowił czokgać się na klęczkach; za jego zaś przykładem poszła cała choroba służących i gawiedzi.

Ksiądz pleban i ojeiec gwardjan na przodzie, kropiąc ciągle drogę wodą święconą, odmawiali łacmskie pacierze, a male chłopaki zsiniałe od strachu drząc, powiewali kadzielnicami na okolo. — Już minęli wzgórek, a odgłos śpiewu rozlegał się po okolicy; już nawet ksiądz Pleban i zakonnicy mogli się wiele zbudować z takiej pokory i pobożności pana Starosty, bo już z tysiąc razy wymówił *Boże bądź miłościw*, i nawet chryp dostał potłuklszy sobie piersi szturganicami. Już wszysecy nareszcie zbliżali się z coraz większą bojaźnią, wszystkim braeiom świeczki w oczach stanęły, serca łopotwały jak we młynie, pobladli jak ściany, a to zjawisko jak się ukazywało, tak ciągle i nieperusze-

nie stojąc w jednym miejscu, przy blasku płomieni coraz jaśniej ukazywało ogorzałe i zarosłe oblicza.

Lubo i starozakonni spostrzegli tak liczną processją i to około północy, a nie mogąc się dorozumieć, co to znaczy, byli w nieopisanem przerażeniu, nawet wielu w lasy pouciekało; jednakże niektórzy z ujęźniejszych na czele uczonego rabina czekałi zaczepki.

Nareszcie gdy pochód uroczysty zbliżył się i stanął na kilka kroków, nikt z całej kompanii nie śmiał podnieść oczy na to zjawisko, za ledwie ksiądz pleban uzbroiwszy się w odwagę, ukląkł pontyfikalnie, a zanim wszysey zgromadzeni, pierwszy pocałował ziemię, i wyrzekł głosem donośnem:

— *W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, kto jesteście duszyczki i czego potrzebujecie?*

Jeden z upiorów.

— *Jedziemy z jarmarku i tutaj szabes nas zapad.*

Stary kucharz.
 — *Wszelki duch pana Boga chwali. To żydzi szabasują.*

Mateusz
 — *To prawdziwie żydy. Gospodyni.*

Święty Antoni Padewski i my się tak nastraszyli.

Pan Starosta powstając z ziemi.

— A niech was jasny piorun trząśnie! jutro w wszystkich powywieszać każe.

Śmiech na około ogarnął kompanią, wszyscy dopiero ze strachu otrzyźwieli, a wielu drabów i hajduków pana Starosty zamierzali rzucić się na żydów, i pomordować na miejscu; jednakże ksiądz pleban i ojcowie Bernardyny łagodzili pana Starostę, który był rozgniewany do żywego i niewstrzymywał rozkielzanęj tłuszczy; bowiem nie tylko kolana sobie poobcierał, ale nawet najulubieńsze karmazynowe szarawary poplamiał i poszarpał.

.baqss

Pleban.

— Panie Starosto cóż oni winni?

Starosta.

— Mucha dobrodzieju... czyli nie mogli przysłać do dworu że chcą szabasować.

Gwardjan.

— Wszak zawsze modlemy się. — *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.*

Starosta

— Nie... niedaruje dobrodzieju... każe porąbać, posiekać, pozabijać.

Pleban

— *W Imię Ojca i Syna i Ducha* zaklinam cię Starosto podaruj im życie.

Pani Staroscina.

— Mój kochanku... mój gołąbku... mój gagatku!... ojciec Gwardjan grozi klątwą na cały nasz ród... przebacz im... daruj... daj się przecie ubłagać.

Pan Starosta.

— Ten raz ostatni!... hej służba... koza-

ki... nie czynić im nic złego... już niezabijać, ale przykazać najsurowiej, aby drugi raz meldowali się dworowi.

Rabin w poselstwie.

— Niech ci jasny panie Bóg nagrodzi. twoje litość... i miłosierdzie.

Pan Starosta.

— Na drugi raz nietylko łozy, ale szubienica... pamiętajcie o tem łotry.

Pleban.

— Dajmy już im pokój i podziękujmy Bogu, że się nic złego nie stało.

I ksiądz pleban w towarzystwie zakonników przy świetle samych pochodni, bo gromnice pozagaszano, z wesoło gwarzącą kompanią powrócili do domu.

Na drugi dzień żona pana Starosty zapytuje swego męża.

— A cóż kochaneczku zdrów jesteś?

— Zdrów moja turkaweczko, tylko te żydy kłopotu mi narobiły. A niemasz tam świeżej śmietanki, bo mi się zagnoiły kolana?

— Zaraz ci przyniosę, tylko mój kochaneczku, uważaj pilnie, słuchaj kazań dobrodzieja i wierz w cuda Boskie, bo to tylko była kara pana Boga, żeś niczemu nie wierzył, aby cię upokorzyć.

— Ja jednak w strachy nigdy wierzyć nie będę, ale cuda Boskie szacuję i odtąd kazań dobrodzieja z uwagą posłucham.

(2) Ogniki fosforyczne, które najczęściej ukazują się po łakach bagnistych i trzęsawicach, jakoteż w miejscach najczęściej przez ciała ludzkie umierające zakopane, po części narad prosty jeszcze teraz, a dawniej i ludzie wyższego stanu twierdziłi, że to są dusze jeomeirów, którzy niesprawiedliwie za swego życia rozmiarzali pola.

(3) Podobianstwo do drzewiastych szpad.

— Kazał przynieść tylko mój kochanek,
 niechka uważaj bliźnie, słuchaj kazań do
 prozieja i wierz w cudu Boskie, bo to ty
 ko była kara pana Hoga, żeś niczem nie
 wierzył, aby się upokorzył, to hojnie —
 — Ja jednak w strachy nigdy wierzyć
 nie będę, ale cuda Boskie szanuj i oddaj
 kazań dobrodzieja z uwagą postucham.

Phan.

— Najmy już mi pokój podziękujmy Bo-
 gu, że się nie złego biśtało.

I ksiądz pleban w towarzystwie zakon-
 nika w przy świetle samych pochodni, bo
 granice pozagranic, a wesoło gwarzają
 kompania powrócił do domu.

Na drugi dzień znowu pana Murstę zapy-
 tano o jego życie.

— A czy kochaneczku zdrow jesteś?

— Zdrow moja turkaweczko, tylko te 23-
 dy kląpota mi dobieły. Najmiesz tam świe-
 ży smaczki, bo mi się zagnęły kolana?

PRZYPISKI

(1) Dawnemi czasy niewiasty tak były bogobojne, że wszystko, co księża lub jój spowiedniki nakazali, lub nauczali, nietylko ślepo wierzyły, ale nawet na chwałę Boga wiele klasztorów fundowały i bogatemi darami obdarzały.

(2) Ogpiki fosforyczne, które najwięcej ukazują się po łąkach bagnistych i trzęsawicach, jakoteż w miejscach najwięcej przez ciała ludzkie lub zwierzęce zakopane, po części naród prosty jeszcze teraz, a dawniej i ludzie wyższego stanu twierdzili, że to są dusze jeometrów, którzy niesprawiedliwie za swego życia rozmierzali pola.

(3) Podobieństwo do dzisiejszych szpad,

LITERATURA

(1) Dawnemi czasy niewiasty tak były do-
gobojne, że wszystkie, co kądzieś lub jej
spowiednik nakazali, lub naradzali, nie były
ko ślepo wierzyły, ale nawet na chwałę
Boga wiele klasztorów fundowały i do-
gatemimi darami obdarzały.

(2) Ogięki losytorczne, które najwięcej ukła-
zują się po łakach budyntych i trzaw-
cach, jakoteż w miejscach najwięcej przez
ciała ludzkie lub zwierzęce zakopane, po-
części naród prosty jeszcze teraz, a da-
wniej i ludźcie wyższego stanu twierdzili,
że to są dusze jeometrow, którzy niepra-
wiedliwie za swego życia rozmiarzyli pola.

(3) Podobienstwo do dzisiejszych szpa-

8.

Młodziuchny Staroscie.

Na urodziny panny Alexandry w miesiącu Wrześniu, w dniu pięknym, pogodnym, przybyłem nad wieczorem do zagrody pana Macieja.

Do zagrody pana Macieja! — źle się wystowitem. — Zagroda niema się rozumieć, dwa lub trzy zagony, ale z milę wszecz i wzdłuż pola z lasami, a pośrodku nięgo wioska obszerna i dwór okazały, stanowiły za-

grodę szlachcica podsiwiałego, którego od dawnych czasów zwano panem Maciejem.

Pan Maciej był to sobie dobry, poczciwy gościnny starowina, każdego jak najchętniej w dom przyjął, serce się jego radowało, gdy tylko ujrzał na gościńcu powóz albo bryczkę znajomego lub przyjaciela. A nuż w swoim domu!...na klęczkach prosił, by jego drużyna do woli jadła i piła; a jeśli jeszcze jaki festyn albo zabawę wyprawiał, ani proźba, ani groźba na nic się niezdawała, bo pan Maciej bramy dziedzińca kazał pozamykać, i dopiero dnia trzeciego, z sercem wzruszonym od radości ze swego dworu wypuszczał. — To też Bóg jakoś błogosławił; bo pan Maciej miał zawsze, i stodoły niepróżne, i trzodkę nieostatnią, i stadko koników, i gro siwa nie-mało.

Dworek murowany zdobiły przed frontem kwitnące akacje, kasztany, lipy; na dziedzińcu kląby cudnych kwiatów; a za dworkiem jak las ogród fruktowy.

W tej chwili kiedy przybyłem, słyhać kapelę sprowadzoną z pobliskiego miasta, a choć to już zmrokiem było, daje się widzieć jak najjaśniej drużynę spacerującą tam i napowrót, i nie tylko front dworku, ale blisko cały ogród oświetlony gagańcami i lampami różnobarwnemi.

Miłe uśmiechy krążą po licach biesiadujących, kompanie swobodne przechadzają się, podsiwiata szlachta osobno, mamy z córeczkami i gdzieniegdzie z przylepionym amantem osobno; a tam na samej środkowej alei, czereda wąsatych, brodatych i puklatych galantów, okrążywszy, każde słówko, każdy ruch, każde spojrzenie z szerególnem zajęciem śledzi jakięś nadobną panię.

Była to panna Alexandra dzisiejsza solenizantka, a jejyna córeczka państwa Maciejów i przyszła ich nadzieja.

Dziewica ta cudnych wdzięków, kształtnej kibici, i ponętnych oczków, była ozdobą okolicy, nie zatem dziwnego, jeżeli na od-

głos tak powabnej partyi, zbiegło się ze wszystkich stron mnóstwo kandydatów; a jak w dniu mego przyjazdu policzyłem, było ich tylko dwunastu.

Po zarekomendowaniu mnie przez szanownego gospodarza, miałem sposobność zapoznania się z wieloma konkurentami panny Alexandry.

Wprawdzie szczęśliwym trafem najprzód zdarzyła mi się przyjemność prowadzenia miłej rozmowy, z panem Lucjanem synem byłego Kasztelana, inwalidcem przystojnym, i ukształconym, i w samej istocie posiadającym wiele oświaty. — Mówił kilkoma językami, posiadał talent muzyki, a grzeczność i ucywilizowanie, były najpierwszą ozdobą ukochanego człowieka. — Pan Lucjan był bardzo lubianym od państwa Maczejów i od ich córki, która podobnie odebrała przyzwoitą edukację; — ale inna kalwarykata kawalerów to *Boże zmiłuj się*, tylko pusty śmiech nasiebie wywołała. — I tak: — pan Bonifacy dzien-

zawca niewielkiego folwarku, był już przecie raz w Warszawie, przeto wąsików pokrecał, czuprynę gładził, puchał, nadymał się; a inną szlachtę gbubami i hetkami nazywał, która jeszcze wielkiego świata nie widziała.

Pan Bartłomiej młodzieniec arcy edukowany, bo już skończył niedawno pierwszy oddział u bakałarza w Pińczowie, a do drugiego mając promoeyą, zreflektował się przecie że mu są nie potrzebne nauki, i postanowił na tem ukończyć swoją oświatę; a teraz *panie odpuść grzechy!*...liczy gwiazdy na niebie, i lata z fuzijką po krzakach pana ojca dobrodzieja, który jest dziezicem dziesiątej części jakiejs wioski.

Pan Dyonizy kapitalista, kawaler napoleońskich czasów, który lubo był wymowny, ale że niski, pekaty i cokolwiek garbaty, przez całe życie swoje był tak nieszcześliwy, że swoją urodą, nie mógł rozmilować żadnej panienci; nieprzestawał jednakże nigdy za-

niechać swojego przedsięwzięcia, ale skoro usłyszał o jakiejś młodej, ładnej, a bogatej szlachejce, już tam pan Dyonizy palił koperczaki, i na każdy przypadek miał na pogotowie w pierścionki ślubne.

Pomijając wszystkich innych adonisów, o których cokolwiek pochlebniej można wspomnieć jak o poprzednich, przystąpię do przedmiotu najgłówniejszego, który w czasie mojej bytności, najwięcej mnie zajął.

Celem takowego było politowanie i zbawienne rady, dla młodzieńczego, a zakochanego szaleńca starościca.

W oddaleniu pośród kłębów ogrodu, jakiś młodzieniaszek najwięcej lat 17 liczyć mogący, sam stoi smutny, melancholiczny; to łączę z białej twarzyczki, małąką rączką obetrze, to się spojrzę gdzie grupa kawalerów rozmawia z panną Alexandrą; to znów westchnie i pójdzie w zarośla najciemniejsze, a tam sobie cichuteńko zapłaczę. — Zdjęty ciekawością zapytałem któregoś z kon-

...ren ó v, kto by to był ten panicz młodzie-
 chny?... I nad moje spodziewanie upewnio-
 no mnie, że jest synem zamożnego starosty,
 który widział pannę Alexandrę raz tylko na
 pewnej zabawie, i tak się w niej rozkochał,
 iż wymknąwszy się w nocy ukradkiem z pen-
 sy pana Bona w Pacanowie, piechotką przy-
 leciał na urodziny swojej niebianki. O —

Hipeio, bo takie miał imię, napłakawszy
 się do woli, wyszedł na front i złączył się
 z kompanią, a spostrzegłszy nieznaną mu
 osobę, starał się o nią dowiedzieć.

Kiedy sobie przechadzam samotnie, du-
 mając nad marnościami świata, witem jak
 strzała wyleciał z gęstwiny ładniuchny Sta-
 roście. Z radosną miną, słodkiem uśmie-
 chem, kłaniając się niziutko, rozpoczyna
 rozmowę od pięknego wieczoru, do miłego
 towarzystwa, aż nareszeie podaje mi drob-
 niutką rączkę, zapewnia, że chce zostać
 moim przyjacielem, całuje trzykrotnie, i prosi
 starych grymasy!... bo i proszę pana? — na co
 one mi się przydadzą?... będę miał znakomity

się o posłuchanie na osobności w gabinecie pana Macieja.

Ciekawy sekretu młodziuchnego Hipolitka, pospieszam uczynić zadość jego żądaniu, który znowu oświadczywszy swoje grzeszności, zapytnje z nieśmiałością.

— Daruj pan jeśli się ośmielam zapytać?

— O cóż takiego?... słucham z przyjemnością.

— Podobno pan pisze dzieła o miłości?

— Tak jest panie... czasami.

— Zapewnie musi pan znać wiele sposobów, do przypodobania się panienkom?

— Cokolwiek... jednak niechże wiem o co rzecz idzie.

— O nieoszacowany panie!... jakże ci wdzięczny będę.

— Niechże usłyszę przedmiot w którym pomocnym mu być mogę.

— Oto — pokochałem się — i spadła mi łezka po ładnym buziaczku — pokochałem się szalenie w pannie Alexandrze!... dodał z gwałtowniejszem wzruszeniem.

— Święty Pankracy!... szalenie!... to okropne cierpienia!

— O tak panie... po nocach sypiać nie mogę... ciągle myślę... wzdycham... smucę się!

— Święty Marku!... to prawdziwe męzarnie!

— Nawet z upragnienia prędszego widzenia, pięć dni, nic a nic nie miałem apetytu.

— Święty Gaudenty!... i takeś się pan zakochał?

— A tak panie... raz ją tylko widziałem w zeszłym roku, i tak mnie zajęła, że już mi wszystko niemiłe, nawet pensją u pana Boma myślę porzucić, aby częściej można ją widywać.

— To... pan... jeszcze... na pensyi?...

— A tak... łaskawy panie... takie to są niesprawiedliwości na świecie.— Mój ojciec jest Starostą i nie miał na to uwagi, że jestem jedynakiem, i że nauki są dla mnie zupełnie niepotrzebne;— ale jak to pan wie!... starych grymasy!... bo i proszę pana? — na co one mi się przydadzą?... będę miał znakomity

majątek, a żalnym pisarkiem ani adwokatem nie zostanę. — Więc jakem pannę wspominał jestem na pensyi u pana Boma, o pół milki ztał w Pacanowie; — daruj zatem pan, że lubo niemam szczęścia znać tak dalece pańskiej osoby, jednakże pokładam nadzieję, że moje zaufanie raczysz łaskawie przyjąć, i zechcesz być dobrym moim przyjacielem i doradcą.

— A najmiléj mi będzie przysłużyć się w tak małej bagatelce.

— Ach panie to niemała bagatelka... ja za to całym moim życiem będę pannę obowiązany.

— Więc chciałbyś pan zapewnie dać poznać pannie Alexandrze, że ją wielbisz, kochasz, ubóstwiasz, ale nie masz odwagi i nie wiesz jak zacząć.

— O! zgadujesz!... zgadujesz!... nieoszacowany panie!... ale że ona ma tylu kawalerów?

— Eee... to mniejsza... pan będziesz pierwszy.

— A niechże cię uściskam!.. najdroższy panie!...

— Potrzebaby... tak... nie... ja panu dam najlepszy sposób.

— Mów!... mów miły panie... a wdzięczność moja będzie nieograniczona.

— Według mego zdania... potrzebaby najprzód na pięknym welinie napisać do niej list, a list tak czuły żeby aż zapłakać mogła.

— O tak... tak...kochany, drogi...nieoszacowany panie.

— Potrzebaby w nim wystawić meki, cierpienia, jakie pan doznajesz dla jej miłości, opisaćby nieszkodziło nawet, że jesliby nie była wzajemna... pan dla niej odbierze sobie życie... ale tego pan przecież nie zrobi?... to tylko tak się jej wystawi... czy mnie pan rozumie?

— O!... rozumie najjaśniej...

— Więc napiszemy... że jeśli nie usłucha jęków z miłości... to trucizna... sztylet... lub

pistolet...zagluszy je na zawsze.—Jakże pan myśli... czyli to zły pomysł?

— Ach najzbawienniejszy! — najlepszy panie.

— Ale cóż?... rzekłem, papieru takiego niema:ny, coby był także piękny.

— Oto niech się pan nie troszczy.—Mam z sobą laur bardzo ładnie odmalowany, moją własną ręką, gdzie chciałem wiersze na jej urodziny umieścić, a że nie znalazłem tak godnego człowieka, coby mi potrafił pięknie a w sekrecie wypisać, bo jak pan wiesz na pensyi wszystkiego strzedz się wypada; mam zatem ten rysunek z sobą, na którym jak mi się zdaje;—lepiej jeszcze się oddadzą podobne uczucia.

Natychmiast poszedł do sali gościnnej, przyniósł mi zwinięty w trąbkę arkusz papieru welinowego, pomazany, pogryzmołony czarną kredką, aż spojrzeć niemiło było; jednak chcąc dogodzić jego życzeniom, uznałem za najlepszy.

— To niechaj pan, rzekłem usiądzie i pi-
sze, a ja mu podyktuję list czuły do panny
Alexandry, co jak przeczyta, niezawodnie
sama nad panem zapłacze.

— Ale łaskawy panie... ja cokolwiek my-
łę się jeszcze w ortografii, nie jestem bardzo
biegły w pisaniu po dyktandzie, i nawet nie
arey pięknie pisze... jeżeli łaska zatem pań-
ska, może mnie pan wyręczy, a życie moje
będzie mu winno przyszłą nadzieję szczęścia.

Jakże tu nieuczynić było tak małej grze-
czności, dla młodzieńca, który ma na wszy-
stko zobowiązał?.. zatem niedługo stanął
list w komplecie, którym delectując się, od-
czytywał na głos przy mnie młodzieńczy
staroście.

Najmiłsza sercu memu istoto!

„Gdy po raz pierwszy ujrzał twoje
„oko czarujące, dusza moja z radości un-
„siła się w powietrze!... a serce łopotnia jak
„dzięciol po drzewie!... — Tyś zajęła moje
„myśli... o tobie marzę... dla ciebie zno-

„szę nieprzyjemności od mego guwerneru... ob... list... „

Tu jakoś mi się nie zdaje—rzekł pan Hilary.

— Co to szkodzi... tym lepiej... to więcéj nada wartości że się dla niej na wszystko poświęca... czytaj pan tylko dalej.
 „dla ciebie jedyny aniele, porzucę nawet
 „pensyę, a jeśli mnie nieusłuchasz pójdę
 „w świat gdzie mnie oczy zaniosą... i tam
 „zginę.

— O to tu... to jest bardzo dobrze.

— Widzisz pan, żeby z glazu była, to się przecież poruszy... lecz ona dla saméj miłości, nie będzie chciała widzieć pana cierpień... kontynuuj pan dalej.

„Ja w tobie jedynie pokładam moje szczęście, ty moim meteorom nadziei, jeśli
 „cię nieuchwyć w moje dłonie... uleczę za
 „tobą w obłoki i spadnę... lecz spadnę już
 „bez duszy! O tak mój aniele! pokochatemu
 „cię szalenie, gdy cię widzę, jestem szczę-

„ślizwy, gdy niewidzę, krwawemi łzami
 „placze jak bóbr... i takie lzy piję na ule-
 „czenie mych cierpień. — Najdroższa Ole-
 „siu!... wysłuchaj moich błagań, bądź mi
 „wzajemną, albo swą odmową... zabij do-
 „reszty nieszczęsnego. — Czekam ustnej
 „albo piśmienną odpowiedzi. — Twój do-
 „śmierci i po śmierci.

— Oto w samym końcu to najlepiej, ale
 niema podpisu...niebędzie wiedziała od kogo.

— To niech pan siada i podpisze własną
 ręką, dla godniejszej wiary.

— Bardzo dobrze... najchętniej... odrzekł
 bo podpisać przecież umiał, i położył poku-
 lawione litery, co znaczyło „*Hilary staro-
 scie Dzieciński*.”

— Ale jakże łaskawy panie... przez kogo
 teraz posłać?

— Niech się pan Hilary stara, kiedy zoczy
 sposobność, że się nikt patrzeć nie będzie,
 to najlepiej samemu, bo pan będziesz pe-
 wnym, że dojdzie, a przytem można pare

słówek wsunąć z niechęcią za sobą, i to ja myślę zaraz z rana jutro, żeby kto pierwszy się nieoświadczył, boby może było za późno.

— Niewymownie jestem wdzięczny za łaskawe rady pańskie; ale jeśliby przypadkiem zapytała się mnie... co to jest... jakże mam odpowiedzieć.

— Powiesz pan, że list od dobrego przyjaciela.

— A gdyby przyszło do tego, żeby po przeczytaniu wahała się ze zdaniem, lub wprost odmówiła...jakaż wtenczas rada.

— Tego niebędzie...jednakże na pogotowiu potrzeba użyć innego fortelu. — I tak: — potrzeba ukłęknać przed nią i błagać, aby się zmięczyła i chciała pana pokochać, a jeśli jeszcze i to niepomocze, wówczas musisz pan koniecznie na głos zapłakać, rączki wzniesć ku niebu i z śmiałą rezygnacją wymówić te słowa: „pani!... jeżeli odmówisz mi swój wzajemności... to odtąd życie moje zniena-

widzę i pójdę sztyletem zabić się; — a kończąc te słowa okropnie należy wzdychać, jęczyć, lamentować, to ona choćby była z kamienia...

— Najnaturalniej kochany panie...

— Z żelaza... z lodu... zmiękczyć się przecież musi, a widząc tak nieopisaną pańską rozpacz wzajemności nieodmówi...

Po takiej radzie i nauce, pan Hilary w niewypowiedzianej radości, ścisnął mnie i całował najmniej z pół godziny...

Owego wieczoru na sali bawialnej, wielu kandydatów próbowało szczęścia w oświadczeniu się panie Alexandrze, ale prawie każdy powracał z niepocieszoną nadzieją, nawet i pan Dionizy zaalterowany, przeklinając jubilerę co tak nieszczęśliwe pierścionki wyrobił, z pochmurnem licem, wąsem na dół opuszczonym, myślą zaktopotaną, wysuwał się cichuteńko na paluszkach za innymi do pokojów gościnnych, gdzie niedługo i cała kompania rozeszła się na spoczynek.

— Mój uczeń caluteńką noc nie mogąc usnąć to się przewracał, to podnosił, to wzdychał, a nad samem ranem kiedy cokolwiek drzemka skleiła mu powieki, tak rzewnie i głośno zaczął płakać przez sen, wymawiając niewyraźnie imię Alexandry, że nas wszystkich rozbudził z najprzyjemniejszych marzeń. — Otóż to — pomyślałem — dać szalonemu miecz, a młodzieniaszkowi pozwolić zakochać się. — Chłopczyzna co za ledwie na łokcie od ziemi wyrosł, a jeszcze czytać, a tembardziej pisać dobrze się niewyuczył, już myśli o miłości, o kochance i żonie!... Jakże tu postęp w umiędwie i chlubnych doskonałościach umysłowych może wzrastać?... jakież cel moralny i przyszłe stanowisko szczęścia?.. kiedy pan ojciec dobrodziej oddaje synka swego na pensję dopiero w 17 roku życia.

o Dla dobra zatem pana Hilarego, aby ze swój głupoty nie był później pośmiewiskiem szlachty i swych sąsiadów, opowiedziałem

państwu Maciejom i pannie Alexandrze, całą historją miłości młodego starościca, i uprosiłem ich, aby zapobiegając tak gwałownej słabości, starali się wszelkiemi siłami przywrócić go na drogę rozsądku.

Na drugi dzień około południa, w gronie familijnem, sąsiadów, i licznego orszaku kawalerów, panna Alexandra jasnieje wdziękiem, ukształceniem i uprzejmością; a pan Hilary, to się zamyśli, to stanie, to się zakręci, i upatruje chwili, w którejby mógł najzręczniejsz wspanąć liścik swój koehance; — w tem, jakos̄ wszyscy się złączyli w jedno centrum, zaczęli głośno gwarzyć, a panna Alexandra sama przy oknie. — Nasz młodzieńszek nie w cieniu bity, umiał korzystać z takiej okazji, i boczkiem, boczkiem, cichaczem, wolnuteńko, zbliża się, kłania się, całuje rączkę i zostawia w niej coś.

Solenizantka będąc o wszystkim poprzecznie utwiadomioua, przyjęła, a po przeczytaniu właściwy śmiech, rozjaśnił żywym ru-

mieńcem nadobną twarzą panny Alexandry, która najuprzejmiej zapytała swojego wielbiciela.

— Czy pan w istocie mnie kochasz?

— Więcej nad wszystko!

— A gdybym wzajemnie pana kochała, czyli dla mojej miłości, uczyniłby pan jedną łaskę?

— Ach pani! na wszystko się poświęcę! wyrzekł z energicznym uniesieniem i zapominając się, że jest w towarzystwie tylu osób, ukląkł i złożył rączki jakby do pancerza.

W tej chwili cała kompania zwróciła oczy na młodą dziewczynę. — Było wiele osób, a osobliwie niewiast, co tę scenę czułości z rozrzewnieniem przyjęły; jednakże rywale pana Hilarego, niemogąc wstrzymać się od śmiechu powysuwali się z salonu, i na długo mieli przedmiot do żartów; jednakże pan Maciej chcąc pocieszyć, tak rozkochał

nego Starościca, przybliżył się, a wzięwszy za rączkę łagodnie zapytał.

— Cóż ci to panie Hilary? .. wstań kochanezku... pewnie cię główka zabolęła, przejdź się cokolwiek na świeże powietrze, idź do ogrodu... to ci będzie lepiej.

Pan Hilary w roztargnieniu niewiedział co odpowiedzieć, na takie ubolewania pana Macieja, jednakże spojrzął to w górę, to na dół, to się zapłonił, a później ani słowa nierzekłszy, usłuchał zdrowej rady, wypił szklanke zimnej wody, co mu liberja pana Macieja spiesznie podała, i wyszedł do ochłodzenia się na dziedzienniec.

Po jego odejściu, pan Maciej natychmiast przywołał swą córkę, kazał jej odpisać jak najstosowniej, i sam jej wręczyć przed odjazdem; a że pan Hilary, piechotka przyleciał na urodziny panuy Alexandry, zatem na usługi starościca w tej chwili konie były gotowe.

Przy pożegnaniu byłem ja obecny, pan

Maciej i jego córka, która mu następnie pytanie zadała.

— Czy pan Hilary rzeczywiście jest moim przyjacielem?

— Do śmierci i po śmierci jeszcze.

— Lubo zawierzam jego słowu; jednakże chcąc jaśniej przekonać się o prawdzie, daję panu to pismo, a w nim moje zapewnienie, że mogę mu być wzajemną, jeśli to, o co proszę, będzie najsolenniejszym wypełnieniem. — List ten ma być dopiero przeczytany, kiedy pan Hilary zobaczy kamienicę pana Boma w Pacanowie.

Staroście całując jej rączki jak i pana Macieja, niezapomniał o mnie, a dziękując mi do ucha, za tak pomyślny skutek, wsiadł do karykła i przyrzekał najświęciej dopełnić wolę panny Alexandry; jednakże za ledwie wyjechał za wieś, zdięty ciekawością, delikatnie rozpieczętował i sub sekreto, aby stan-gret czasami niedosłyszał i niedowidział zasłonik ezapeczka, i czytał cichutenko;

List był téj treści:

Panie Hilary!

Wiem, że dla mnie wszystko uczynisz, zatem upraszam go, jeśli chcesz mieć moją wzajemność, abys jeszcze przez dwa lata uczył się na pensyi u pana Boma w Pacanowie, z przykladem dla swych towarzyszy; a po tym czasie, upraszał ojca, iżby cię odesłał do wyższych nauk w szkołach Gimnazjalnych do Radomia lub Kielc, i tam z każdéj klasy otrzymał promocję; gdy zaś patent z ukończonych szkół otrzymasz, możesz dopiero przyjechać do Powabnie i prosić o moją rękę; a ja jeśli jeszcze będę wolną, nieodmówię jego prośbie; przeciwnie zaś, jeśli jeszcze choć raz zobaczę jako studentu, przybywającego w podobnym celu, sam sobie winę przypiszę pan Hilary, jeśli zamiast kochanki, znajdzie gwernantkę, która pana Starościca z matematyki lub gramatyki, examinować będzie miała przyjemność. wad
ołosz prawdziwa przyjaciółka Alexandra.

Po przeczytaniu tego zbawiennego liściku, pan Hilary jakoś był w nieswoim humorze, bo coś sobie szeptał.

„A to mi piękna rada! masz tam tedy... jeszcze dziesięć lat chodzić do szkół... o! tego mi się niespodziewał... ale cóż? .. ona pi-sze, że mogę mieć jeszcze nadzieję, jak otrzymam patent...ha!..to i pójdę jeszcze do nauki.

I z smutną resignacją po przyjeździe do Pacanowa, zaszedł na pensję do pana Boma. Dyrektor zakładu, niewiedząc o jego wojażu, w nieopisanem był zmartwieniu; jednakże gdy go zoczył z miłego ukontentowania, niepytając się gdzie był, co robił, zatarasował pana Hilarego do komórki, na suche rekolekcje przez trzy dni.

Lubo potrzeba ubolewać, nad terażniejszym położeniem pana Hilarego, jednakże niemając czasu, powracam znowu do dywera pana Macieja, pośród pozostałej kompanii bawię się przyjemnie, i dopiero po dniach trzech z miłym wspomnieniem tak wesoło

Był tej treści:

przepędzonych chwil, przy grzecznej, ładnej i edukowanej pannie Alexandrze i jej rodzicach, wraz z innymi osobami pożegnałem pana Macieja.

Niedawno w pewnym miejscu mówiono: że piękna jedynaczka wyszła za mąż za przystojnego pana Lucjana kasztelanica, i że młodziuchny Staroście Hilary, niewiedząc jeszcze o tem, uczy się wzorowo na pensyi u pana Boma, i ma nieodmienny zamiar ukończyć szkoły Gimnazjalne.

— Daj Boże, aby ten projekt przyszedł do skutku!..

W

przebiegającej chwili, przy grzesznej, ładnej i edukowanej panie Aleksandrze i jej rodzi-
cach, wraz z innymi osobami pożądanem
pana Macieja. Niechaj w pewnym miejscu mówiono:
nie biega jedynaczka wyszła z domu przy-
stojnego pana Łukasza Kasztanica, i że uło-
żymy Stroszko. 9. szcze o tem, czy się wzorowo na pierwszy
papa Bona. **Swaty pana Pinkusa w Warszawie.**

CZEŚĆ I.

W Warszawie, gdzie przeszło 150,000 na-
rodu krąży w granicach szerokich i wyso-
kich murów, nie jest podobieństwem, aby
wszyscy sobie nawzajem znani być mogli,
i nieraz tak się zdarza, że nawet w jednej
kamienicy, mieszkańcy pierwszego piętra,
nieznają swych sąsiadów na parterze mie-
szkających, nie zatem dziwnego, że mło-
dzież Warszawska, lubo ze szczeremi chę-

ejami do żeniaczki, nie mogą znaleźć do odpowiedniego gustu stosownej znajomości i rekomendacyi, i dla tego wielu kawalerów jak i panien na wydaniu, w długim szeregu lat, doczekują się grochowego wianka.

Wprawdzie w Paryżu, jak i w innych znaczniejszych miastach Europy, są pod opieką wyrafinowanych finansistów kantory stręczeń małżeństw, (1) jednak w Warszawie dotąd podobnego nieotworzono; ale za to żyją jeszcze poczciwi żydkowie, którzy poświęcając się z całym zapalem swęj wymowy, są ostatnią nadzieją zakłopotanych istot.—Oni to dają swoje protekcyjne opinie, swaty, i starają się być sprężynami do skojarzenia małżeństwa.

Przy ulicy Franciszkańskiej, żył nieoszacowany pan Pinkus, człowiek z rozumem, znał wiele osób, umiał się wkręcić w każdy kąt, i prowadził handel pomiędzy kawalerami do wzięcia, a pannami na wydaniu.—Dobrze mu jakoś z tem było, bo pan

Pinkus, miał znaczne obrywki i nim jeszcze okazała broda rozkwiliła na jego twarzyczce, już uzbierał szeroki i długi worek samych dusiów holenderskich.

Pan Pinkus pomiędzy innemi, znał panienkę bez rodziców, dziedziczkę pięknej kamienicy i znacznego kapitału w Banku ulokowanego, która w sekrecie i do ucha zwierzyła się, iżby niewzgardziła zalotami, ładnego, młodego, choćby i niebogatego adonisa. — Nasz Pinkusek mając olej w głowie, poznał wartość swojego poselstwa i tajemnicy, wychodząc skłoniwszy się niziuteńko zapewnił, że niedługo zadość uczyni podobnemu żądaniu.

Panience téj było na imie Urszula. Miała wiosen może najwięcej 39, była przytem powabną szczególnie z oczków burych, noska karmazynowego, nóżek płasciutkich, szerokich, a prócz tego na jednej cokolwiek wyżej stapała.

Pan Pinkus zaszedł pod strychni na stare

Miasto. — Mieszkał tam dorostek pod wąsem przystojny, kolorowany z natury, prościutki jak trzcina, ale kapotka podszarzana i szarawary nietęgę, świadczyły, że chłodno i głodno. — Z pocieszającą minką, a uśmiechem coś znaczącym, zbliża się uczciwy Pinkusek do młodego pisarka, bo był dependentem adwokata, a który podobnież miał intencją żenienia się, ale bogato.

— A co panie Pinkus?

— Jest panie.

— Ale jaka?

— Jaka?... jns ja co powim... to musi być gane git wysmienite.

— Ale przecież?... bogata?...

— Oj bogata panie Wojciechu!.. bogata!.. ma wielki dom na Nowym Swiecieh, i w Banku (dodał Pinkusek cichuteńko) i w Banku gotówki kilkadziesiąt tysięcy.

— A ładna?

— Oj panie Wojciechu!.. panie Wojcie-

chu!... jushy pon Wojciech, chciałby to i to, tsieba się jednym pociesyć.

- A przecież?...

— Niczego jój panie Wojciechu... oeki ma śliene... nie jest bardzo podstarzała... ale jako gospodyni!... rządua!...

— Wszystko to dobrze... ale jakże się zaznajomić.

— O to niech się pon Wojciech niepyto... bo to jus jo biore na siebie, zie to wsistko będzie gane git wysmienite... tylko... wiele pon Wojciech myśli ofiarować procentu?

— Dam pięć od sta.

— Aj waj!... za moje chodzenie więcej warto.

— Niemogę więcej mój Pinkusku.

— No... niech będzie dziesięć?

— Ani pół już więcej nie dam jak sześć od sta.

— No... no... zgoda... wsiak pon Wojciech wi, zie ja uczeiwy człowiek... niech pon napise rewers. — Oto wiciąg hipotecny siacun-

ku kamienicy na sto tysięcy Złotych, i wzię-
 ciąg z Banku na złożoną sumę Złotych pię-
 dziesiąt tysięcy.

I pan Wojciech nienamysłając się długo,
 siadł, napisał i podpisał weksel na Złp 9000,
 jako dług prosty sposobem pożyczki zacią-
 gnięty, niewymieniając nic o wspomnionych
 wyżej układach, bowiem Pinkusek tak sobie
 życzył, a że był dosyć cnotliwy i niechciał
 go oszukiwać, gdyż uważał, że niema je-
 szcze kogo, dał mu ze swęj strony zapewnie-
 nie: że w razie niedojścia projektowanego
 małżeństwa, zostaje obowiązany panu Woj-
 ciechowi wrócić rewers bez żadnych wy-
 biegów prawnych.

—Więc teraz panie Pinkusie... jakże mam
 działać.

—Teraz niech mnie pan Wojciech uwo-
 zo. —Potsiebażebypan Wojciech, był w Nie-
 dziele u kościoła świętego Ksierzia, o godzi-
 nie dziesiątym rano, a tam na prawęj ręki
 w trzecięj ławki, pierwsia na bziegu, będzie

siedzieć w różowych kapelus, z ciarnym siał
zakryta panna Ursula...ta...ta sama...s. com
panu mówił co go to taka bogata...? i siegish
— Ale jakże się zaznajomić?...
— Słuchajno mnie pon psiecie... jak pon
tam stanie... potsieba tsi raza tupnąć nogiem
po posadzki... to ona będzie się lękać i wy-
rzuci chusteczkę białą z literzem U. J.
wtencias niech go pan łapie, a jak go pan
Wojciech będzie w rękę tsi... niech się
pon Wojciech skłoni i psieprosi... a potem
niech gado zię się gdzieś znało... i cy pani
ta sama co go to ma kamienice na nowym
Świeciech... a jak ona odpowię zięta... to tsi-
ba się znowu skłonić i gadać, zię się go do-
bzie znało tego kamienica i zię pon Wojciech
suko mieszkania... to ona zaraz powię zię tam
są pokoiki do psinajęcia... a jak powię... to pon
Wojciech będzie prosił, zięby pokazała, a jak
powię zię będzie pokazała... to pon Wojciech
będzie ciekol, aż wyjdzie z tego kościol.
— I cóż potem?

— Nu?... i cus?... jak wyjdzie z tego ko-
 ściol... to tsieba panu (Wojciechowi) godać i
 godać... a jak do domu psidzie... to ona jns
 będzie prosila odwidzać cęsci, a ja jak tam
 psidę, to jegomości będą chwalić i godać...
 co to go za pon... co to go ma za majątek...
 a jaki urzędnik!... no no... niech się tylko
 pon Wojciech na mnie spuści... a będzie wsi-
 stko ganc git wyśmienite. —

...Pan Wojciech posłał sam siebie po słod-
 ką wódeczkę, poczęstował usłużnego Pinkusa
 i przyrzekł dopełnić jego poradę; potem sza-
 nowny swat niezwlekając czasu, poszedł na
 ulicę Nowy Świat do pięknej gustownej ka-
 mienicy panny Urszuli.

Tam na pierwszym piętrze, zastał w po-
 koju sypialnym samą dziewczkę, siedzącą
 na wygodnym fatersztulu i czytającą jakiś
 romans nowocześniey; a w innym panny słu-
 żące, zmiatające kurz z bogatych luster,
 landszaftów i froterowanych posadzek.

— No i cóż mój Pinkusku?

— Wsistko dobrze jaśnie pani, (bo tak
kazała się tytułować)... ale tsiebaby kazać
lepiej psimknąć te dźwi.

— Józeko!... zamknij tam podwoje bo nie-
znośny kurz tu dochodzi.

Rozkaz natychmiast spełniono, a jaśnie
pani zapytała:

— No i jakże?..

— Dobrze idzie jaśnie pani!... mam chłop-
ca gane git psistojnego, ładny jak kwiatek...
rumiany jak cybulka... prosty jak topola...
młody jak konik, a psitem, ma bogatych
stryjów, wujów, ciotek, a jaki urzędnik.

— A czemże jest?

— Patsi na mecenasa.

— Na mecenasa!... a czy już wie jak ma
się ze mną zapoznać?

— Wsistko do słowa powiedziałem, co
jaśnie pani kazała... no?... a jakże jaśnie pani?

— Niechże go pierwój zobaczę... może mi
się niespodoba, jeśli zaś na pierwszy bal, bę-
dzie do mnie proszony, wówczas dostaniesz

odemnie pewną odpowiedź, i rewers na przy-
rzeczone Złp 10,000.

— Bardzo łobzie jaśnie pani!

— A teraz idź i staraj się go uprzedzić
jak najlepiej, względem mojej osoby. —

Pan Pinkus, pogładził bródki, obkreślił
krymkę, ukłonił się niziuteńko i wyszedł.

CZEŚĆ II.

Trzy tygodnie za ledwie minęło, a było to
w czasie karnawału, widzimy pana Wojcie-
cha nie do poznania zmienionego, już nie
na starem mieście pod strychem mieszkają-
cego, ale na ulicy Senatorskiej, w gustownie
umeblowanych pokojach wpatrującego się
z słodką minką w nowiuteńki garnitur ubio-
rów, a obok niego Pinkusa liczącego wydat-
ki, i wpisującego w registr długi pana Woj-
ciecha.

— O którejże panie Wojciechu godzinie,
ma być bal?

— Zapewnie zacznie się jak zwykle o wpół do dziesiątej.

No?... a jagzie?... wsiak gane git panna Urszula.

— Ale mój kochany Pinkusku, gdzież ty masz oczy?

— Psiecie ja panu mówiłem, że niemożna wsistko razem... ale co?... ci niebogata panie Wojciechu?

— To też to właśnie mnie przyciąga i dla tego się żenić będę, tylko kiedy pan Pinkus radzi się oświadczyć?

— To tsieba zostawić mojemu rozumowi, ja jus powim, kiedy będzie można najłepi, psiecie juz pan Wojciech mozie być pewnym, kiedy ja mojami pieniędzmi wykładam. (choć ciałż to była bajka, bo który żyd na niepewność ryzykuje.)

— A teraz — rzekł pan Pinkus — za dwa tuzjarki — dwa rejtfraki... siopy...

— No... dobrze... dobrze... a wieleżeś tam naliczył?

—Tsi, tysięcy pięćset Złoty:—oprócz procentu panie Wojciechu, bo ja psiecie muszę co zarobić.

—No... no...dobrze... dodaję jeszcze Złp. 500 i ot jest już rewers.

Uczciwy Pinkusek żwawo go zawinął schował do starego wypłowiałego pugilaresu, i potulnie kłaniając się pożegnał pana dependenta.

Niedługo godzina wpół do dziesiątej uderzyła, a w tym czasie młody pisarek wylegantowany jak z pudełka, zakręcił czarne go wąsika, pomysłął chwilkę, zarzucił na siebie szopy i ruszył na hal do panny Urszuli.

Wprawdzie na tym wieczorze żerandole i lampy oświecały wytwornie umeblowane pokoje, ale oprócz kilku osób z familii i teraz przybyłego pana Wojciecha, nikogo więcej nie było.

Panna Urszula pochodziła z bardzo niskiej familii; a że majątek wyniósł jej rodziców do pewnego znaczenia, przeto dawne

znajomości zapomniiała, a do wyższego towarzystwa niemając przystępu, żyła sama jedynie, i dla tego widzimy na téj zabawie, którą ona balem nazwała, same osoby do rodziny należące.

Takowa uczta dla tego była umówiona, aby krewniaki panny Urszuli, zapoznali także przyszłego jój męża.

I po kilku tańcach na sali gedowój, gdzie sama gospodyni popisywała się ze swym talentem na pantalionie, a jój amant latał w kółko zadyszany z poważnemi ciociami, wujenkami, pani Ignacowa stryjenka, osoba z szanownemi laty, która już czterech swoich mężów rozpoznała jak najlepiej charaktery; mając dosyć praktyki w tym przedmiocie, jakoteż głośna z wymowy na całą okolicę żelaznej bramy, zamierzyła przysłużyć się całej familii, i dać swoje stanowcze zdanie o kawalerze swój kuzynki.

— Czy pan... rzekła ona — tu w Warszawie mieszka?

— Tak jest pani dobrodziejko w Warszawie.

— A zapewnie przy rodzicach?

— Nie... już od lat kilku umarli.

— Czy oboje?..

— Oboje pani dobrodziejko.

— Ach! rzekła z westchnieniem — jaka szkoda.

— To mnie też właśnie martwi.

— Zapewnie pan jesteś na urzędowaniu?

— Tak pani dobrodziejko; — poświęciłem się sądownictwu.

— Zapewnie pan płatny?

— O już pani dobrodziejko.

— Zapewnie z pare tysięcy rocznie.

— Mogę mieć do kilku tysięcy.

— Do kilku tysięcy.

— Tak jest pani dobrodziejko.

Pani Ignacowa w tem miejscu zastanowiła się chwilę; a gdy jej do gustu trafiły ciągle tytuły „pani dobrodziejko” których ona może nigdy w życiu niesłyszała, od-

wróciła się do obok siedzącej pani Maciejowej i szepnęła jej na ucho. To jakiś ugrzeźniony człowiek, wart jest naszej Urszuli; a później ułożywszy minkę wiele obiecująca zapytała pana Wojciecha.

— Zapewnie pan doświadczył że stan kawalerski jest bardzo przykry, sam tylko jeden, zawsze się nudzić potrzeba.

— O tak! pani dobrodziejko!

— Ja myślę że żonaty daleko przyjemniej czas pędzi.

— Lubo jeszcze niedoświadczałem tych słodyczy, jednakże potwierdzam zdanie pani dobrodziejki.

Pan Wojciech uśmiechał się w słabą stronę trafiać, bowiem coraz miłsze uśmiechy, na okrągłą twarzyczkę pani Ignacowej występowały, która znowu się zwróciła ku pani Maciejowej i cicho szepnęła. — O!... to chłopiec do rzeczy, w istocie bardzo uprzejmy, mąż będzie z niego bardzo dobry; — a później ciągnęła dalej rozmowę.

— A daleko pan mieszka?

— Przy ulicy Senatorskiej pani dobrodziejko.

— Jakże się podoba panu dzisiejsza zabawa?

— Bardzo jestem zadowolony, a osobliwie żem poznał tak miłe dla mnie towarzystwo.

— Czy pan dosyć ma znajomych?

— O i wiele, a osobliwie na prowincyi.

— Więc pan zapewnie ze wsi?

— Tak jest pani dobrodziejko.

— A z których stron?

— Z podlasia pani dobrodziejko.

— Zapewnie pan tam ma familią?

— A tak... mój ojciec miał kiedyś swoje dobra, a po śmierci jego o pozostałą successyą ciągle się processuje; jeduakże na Podlasin mam jeszcze stryja, wdowca bezdzietnego, który połączywszy mój majątek do swego, płaci mi dzierżawy tylko

dziesięć tysięcy Złotyeh rocznie; — kiedy
 powinien przysyłać po 20,000.

— Więc pan zapewnie ze szlachty?

— Tak pani dobrodziejko!

— Zapewnie wylegitymowany?

— W zeszłym roku otrzymałem patent.

Chociaż kłamał przewybornie, bo był tył-
 ko synem bakałarza z Sokółowa; a jego oj-
 cieć jak stryjowie i wujowie trudnili się eko-
 nomiką po dworach i to kusěj szlachty: je-
 dnakże pani Ignacowa, ponieważ umiał jēj
 się spodobać, uwierzywszy, za dobrą mone-
 tę przyjęła i takową w właściwėj cenie uży-
 czała całej familii, dodając swoje pochlebne
 wnioski; tak, że same krewieństwo jeszcze,
 wnosilo silną protekeyje do panny Urszuli,
 za panem Wojciechem.

Na drugi dzień po wspomnionym balu, pan-
 na Urszula jak najraniěj wysłała po nieosza-
 cowanego swata, który niedługo zjawił się.

— Masz dać wiadomość panu Wojcie-
 chowi, rzekła ona — że po zdeedydowaniu mo-

im, jak całej familii, pan Wojciech może się oświadczyć, a nieodmówną otrzyma odpowiedź.

— Dobrze jaśnie pani. — A kiedy jaśnie pani, pan Wojciech może chodzić na kościół dać na zapowiedź.

— Może zaraz na drugi dzień po oświadczeniu.

Uniziony sługa jaśnie pani — odrzekł pan Pinkus, sięgając do krymki, i wolno w tył cofając się, ale po chwili powrócił i cokolwiek ciszej a bojaźliwie zaczął mówić.

— Potsieba jesteście jaśnie pani z pare tysięcy na ślubną garderobę, pieścianki ślubne i inne rzeczy dla pana Wojciecha.

— Wszak dałam już waszemu czterysta złotych na podobne przedmioty, to powinno wystarczyć.

Niedługo po poznaniu się wzajemnym panny Urszuli i przystojnego dependenta, szacowny swat objawił rzetelnie jego stan i fundusze utrzymania terażniejszego; a że bo-

gatéj dziedzicze wpadł w oko i umiał się spodobać, taż pod zasłoną Piukusa dostarczała pieniędzy na wszelkie potrzeby, jak z powyższej rozmowy cokolwiek dorozumieć się można; jednakże o tém swéj familii nie wspominała, bowiem to zostawało tajemnicą pomiędzy nią a Piukusem, który zdawał jéj następne tłumaczenie.

— Psiecie jaśnie pańi jus wi, zie jo na jego meble, garderobę i inne sprawunki, wsistko jus widatém, nawet swoich duzo dołozilem.

— Wieleż ci jeszcze potrzeba?

— Ze dwóch tysiacyów.

— No... masz...oto są dwa listy zastawne po tysiacy Złotyeh.

— A moja obietnica?... jaśnie pańi!

— Teraz ci niezapłacę, bo jeszcze nie wiem pewności, ale skoro interes skońcemy (tu kiwnęła pare razy główką)... a teraz masz rewers na 10.000 Złp.

— Pań Piukus pokornitko, potulnie, ebył

kiem kłaniał się, zdejmując krymkę do samej ziemi, a zapewniwszy na swoją uczciwość, że niezawodnie ten przedmiot najpomysłniej i skutecznie, pospieszył do pana Wojciecha.

— Cies się pan! ganc git idzie interess...
panna Ursula pozwoliła jus się oswiadczyć.

— Ale ja już żenić się niebędę— odrzekł pan Wojciech obojętnie.

— Aj! panie Wojciechu! co się to panu stało... pan ucieka od swojego szczęścia, takiego karjera drugi raz się nienatrafii.

— Ale stara... brzydka... niemiła... nie!... już jej niechcę.

— Co tys pan mówi... to psijemna panienska... jeście nie tak bardzo wiele ma latek... za to bogata... aj! panie Wojciechu!... panie Wojciechu... ja panu radzę słuchoj mnie pan.

— Nie już z tego nie będzie wyperswadowałem sobie— odrzekł pan Wojciech najzimniej.

— Ach panie Wojciechu! (namawia jak

może pan Pinkus zatrwożony o swoją spekulacją), na moją ucciwość co pon robi? pon będzie plakol takiego ścieńcia. — Jakby to ślicnie było niech sobie pon Wojciech tylko wystawi... gdyby pon Wojciech sam lub z zionkiem paradowol w kocu, a éterma końmi, lokaj z psiodu, lokaj z tyłu, w mundurzech, a pieniędzyw massa po kiesieniach bziąkal... ci to nieladnie?...to kazdy cłowiek siacuje i ucciwym takiego nazywa; a teraz pan Wojciech musi pracować nocom i dniem jak chłopa, i chodźć piechotem jak zid, a kazdi jesce powi, to galgon, i niktciapkiem nie skloni... no i jakzie panie Wojciechu? ci nie prawda.

Pan Wojciech wprawdzie długo się pasował z myślami, serce jego niepozwalalo kochać osoby, której widoku zniesć nie mógł; jednak żądza bogactw, ta ukryta sprężyna, poruszająca uczucia prawie każdego człowieka, przewycięzyla jego rozwagę. — Nie odkrył jednakże panu Pinkusowi swojego po-

stanowienia, widząc go w tak drażliwym położeniu, bowiem miał nadzieję, że coś z téj sposobności może zkorzystać;—pyta go zatem nawiasowo.

— A masz panie Pinkusie mój rewers, bo mogę ci zwrócić twoje zapewnienie.

Stary lis mając i tak dosyć widoku z obiecani panny Urszuli, ścisnąwszy go przyjacielsko za rękę, odrzekł najuprzejmiej.

— Jo i rewers panu Wojciechowi zwrócę, bez najmniejszej pretensyi, ale jo jako psijaciel pański ziczę mu ścięcia. — Niech mnie pon Wojciech usluha, ozieni się z panem Ursiulą a będzie pon bogaty.

— No... no... pomyśle ja jeszcze nad tem.

— Oto jest panie Wojciechu — odrzekł ucieszony Pinkusek i wyjął z pugilaresu oblig konkurenta panny Urszuli — ale niech mnie pan Wojciech mój oddo.

Pan Wojciech natychmiast skutecznil jego żądanie, i z powątpiewającą nadzieją pożegnał swojego swata; — jednakże na drugi

dzień oddał wizytę pannie Urszuli, złożył jej pierścionki ślubne, a w tydzień za indultem w tymże kościele gdzie się po raz pierwszy zapoznali, wyszła zapowiedź i ślub okazały odprawiono.

Małżeństwo to, jak wieści sekretne chodzą, dosyć zgodnie z sobą żyją, ona go kocha szalenie, a on dla kruscu złotego także szanować ją musi. — Koledzy pana Wojciecha widząc nieraz swego towarzysza w takich dostatkach, na pozor mu winszują a w sercu zazdroszczą. — Pan Pinkus odebrał najrzetelniej swoją obietcankę, a oprócz tego okrył się sławą wybornego swata, i wielu kandydatów do tego stanu, opanowało jego pomieszkание, niedając mu nawet spokojnego odpoczynku; — jednakże nieborak w krytycznym jest położeniu, bo jeszcze nie wyszperłał żadnej podobnej panienki.

PRZYPISKI

(I) Kantor Stręczeń małżeństw w Paryżu, zajmuje bardzo piękny i obszerny gmach, gdzie oprócz kancelaryi, w której kawalerowie jak i panny na wydaniu, zapisują swe imiona, nazwiska, lata, opis kształtu, figury, twarzy, majątku etc; są jeszcze piękne i gustowne salony. — Tam co tydzień w dzień sobotni odbywają się zgromadzenia panien z ciotkami lub matkami, i kawalerów rozmaitego wieku; gdzie wczasie zabawy, rozmawiają, zaznajamiają się bez najmniejszej żenady; a jeśli się jaka para sobie upodoba, udają się do kantoru i zasiągają szczegółowych wiadomości; dalsze zaś swaty odbywa Dyrektor zakładu, rekomendując tak jednej jak i drugiej stronie tak pochlebnie, pięknie, ponętnie, a to sub sekreto komu wypadnie, że niedługo a najwięcej w trzy tygodnie po poznaniu, małżeństwo zostaje skojarzone.

Wspomniony kantor przyjmuje tylko osoby przez kogoś znajomego rekomendowane, lub dokumenta prawne co do posiadania okazujące majątków: a za wstępne każdy wpisujący się płaci 5 franków, za wnijsście na wieczorne zgromadzenie 3 franki, a w razie zaś ukończenia swatów, otrzymuje Dyrektor zakładu po 2% procentu od majątku tak panny jak kawalera.

10.

Trzy obrazy z życia lichwiarza.

Pprzed kilkulaty w Warszawie, w kamienicy
wysokiej ścieszionej pomiędzy murami i zu-
pełnie zdezelowanej, żył niejaki pan Jakób
Laszko stary kawaler, który znudzony sa-
motnością z coraz późniejszym wiekiem, stał
się zupełnie obojętnym na świat, nie go nie
cieszyło, nie go niewruszyło, był to głaz bez
czucia, chciał zrobić pieniądze jakimkolwiek
bądź sposobem, choćby naruszyć sumienia...

i stało się jego woli.— Był maguatem w ukryciu, miał znaczne kapitały, i to jeszcze ostatnią słodziły mu przyszłość, bowiem w tem jego cała rozkosz, aby się napoić widokiem złota.

Pożywienie jego nędzarzowi było podobnem, ale lichwa, oszustwo ubogich, nieszczęśliwych i potrzebujących gwałtownej pomocy pieniężnej, było jego kordjałem;—jednak zawsze czarne sumienie osładzał ciągłą modlitwą i pacierzami.— Miał swoją nadworną gospodynią od lat dawnych, która każde jego skinienie jak najjaśniej rozumiała.

Stancya gdzie mieszkał wyobrażała prawdziwą jaskinią... wszędzie czarno, posepno, bez porządku, ściany zalymione, gdzieśniedzie mury od starości i zapomnienia widać były rozpadające, okienka kratami żelaznemi obmurowane, mało światła udzielały, a dwa stołki, zniszczony stół i żelazne łóżko z nędzną pościelą, pod którym cokolwiek widać było stary podarty kuferek, ca-

lytenssäbin ozdabiała; — alkowa zaś zupełnie podobnie, a do pierwszego pokoju, bowiem tylko przedzielona forsztowaniem, starym, była zamknięta na dwa rygle od głównych drzwi wchodowych. — Tam to zajmowała mieszkanie wspomniana powiernica, imieniem Katarzyna, która podobnie jak jej pan, arcy była nabożną; nawet w tej chwili odśpiewuje kantyczki, przerzucając ezarne drewniane paciorki i całując poświęcone skaplerze z Częstochowy, — pan Laszko zaś w poszarpanym starym szlafroku, bo było o ranniej godzinie, blady, mizerny, wynędzniały, jakby nieboraczek od kilku dni pożywienia nie miał, z wzrokiem osłupiałym, z energiczną drzączką, z cicha przybliżył się do alkowy swojej gospodyni, podśluchuje, zamyka ją jak najstaranniej na haczyk, a później wydobywa z ukrycia długie rulony z dukatami, które z szczególnym uśmiechem radości, roztwierającą niedźmym stole, ogląda, wazy... rachuje i znowu zamyka i pieczętuje.

— Pięćdziesiąt tysięcy... tak... dobrze... pięćdziesiąt tysięcy... sześć... a kto tam?... tu elektryczne doznał wstrząśnienie i usłyszawszy sztukanie i przestał dalej liczyć.

— Katarzyno ktoś puka?... i wzbudził

— Puka panie.

— Ciszéj,... nieotwieraj.

— Panie puka mocniéj.

— Zaraz... zaraz... zapytaj się kto tam taki?...

Tymczasem pan Laszko, jak najzwinniej pozbiierał pieniądze i z pośpiechem wróciwszy do starego kufierka, zatrzaskał na tajemniczy zamek, a później usiadł na stolku zmienionym, siny, zadyszany, jakby bez tchu.

— Katarzyno! któż taki?...

— Jakiś pan Ordega.

— Cóż to za jeden.

— Powiada że jest przyjacielem pańskim od lat dziecinnych.

— Niewiem— ale poproś go.

Niedługo ciężkie zawiasy zaskrzyły i

wszedł człowiek sędziwych lat w ubogiej odzieży, z wyrazem boleści na twarzy i z nieobłądną radością zawołał w uniesieniu.

— Jakże się miewasz kochany Jakóbku!.. szkolny mój towarzyszu i kolego! czy mnie też przypominasz.

— A tak przypominam — odrzekł z gorzkim uśmiechem.

— Przecież cię znowu po latach tyłu oglądam, jakże ci się powodzi?.. powiedz... powiedz kochany przyjacielu.

— Nieszczęśliwy jestem — tak nieszczęśliwy! — odrzekł pan Laszko z wruszeniem, może u ciebie co lepszego słyhać, bo u mnie jak widzisz... nędza w około... tak nędza i jakby w rzeczywistości, zaczęły mu lzy spadać po głębokich marszczkach.

— Ależ kochany Jakóbku! przecież mówili, że ci się dobrze dzieje, że masz majątek... że nawet pożyczasz pieniędzy.

— Mówili!.. tak oni mówili... o ludzie! niedość, że nikt nie wspomże... nikt nie pora-

tuje... ale jeszcze żarty!.. drwinki!.. śmiechy! z mojej nędzy!—tu umilkł, twarz jego przybrała kolor żółtawy, odcienia piekielnych wzruszeń, płakał jak dziecko i rwał z rozpazą włosy;—a po chwili odrzekł powolnie — Bóg świadkiem mojej duszy kochany przyjacielu, żem już od dwóch dni oprócz suchego chleba z ciepłą wodą, nic więcej nie miał w ustach... Katarzyno... hej Katarzyno!..

— A co panie.

— Czy ja mam pieniądze, powiedz, ty wiesz najlepiej.

— Wczoraj i dzisiaj suchem kawałkiem chleba i wodą żyjemy.

— Otóż widzisz... widzisz kochany przyjacielu lat moich dziecińczych jaki ja to bogacz i zaczął go całować—Tyś mnie przecież nędznego pod strychem niezapomniał, Bóg ci to nagrodzi;—ale cóżes i ty tak samotny, może i ciebie los przesładuje, opowiedz mi historję twego życia, a mitemi będzie podzielić z tobą moją niedolę.

W tem miejscu nieszczęśliwy staruszek, spuścił ku ziemi oblicze, łzy mu się potoczyły po siwych wąsach, westchnął głęboko i zaczął opowiadać.

— Bóg rozmaicie rządzi losami człowieka. Po rozstaniu się z tobą, byłem z początku przy rodzicach dla ich pomocy, później po śmierci ojca i matki odziedziczyłem znaczny majątek, składający się z pięciu wsi, w urodzajnym gruncie z stawami, borami, lasami, wartujący najmniej milion Złotych.

— Milion Złotych? przerwie zadziwiająco pan Laszko.

Byłem szczęśliwy jak w raju — bo i cóż myślisz będąc jedynakiem, we wszystkie przyjemności światowe opływałem, ale z czasem samotne życie się uprzykrzyło, zapragnąłem przeto ożenić się... i ot niedługo kupuję, ekwipaże, piękne konie, sutą liberją i zajeżdżam do pięknej a młodej Starościanki która miała w posagu 500,000 Złp. gotowizną.

— 500,000 Złp. gotowizną— a to niela-
da karjera!... przerwie znowu pan Laszko.

— Starościance wpadłam w oczko... ba?
i ona miue się podobała, zatem niedługo zo-
staje jej mężem wraz z posagiem, który na-
tychmiast po szlubie odbieram.

Staruszek zapominając się, bo mu jakoś
miłe były wspomnienia, ciągnął dalej rozmo-
wę w czasie terazniejszym.

— Mam teraz wszystko do mego szcze-
ścia, i majątek, i cudną żonę, bo ją kocham
nad życie. — Ozdabiają mnie urzędami, nie-
długo marszałkiem, znowu sędzią, to preze-
sem obrad i czegoż więcej żądać?.. zapraszam
szlachtę na bale, uезty, zabawy, szkoda tyl-
ko że ciebie kochany kolego w tamtych stro-
nach niema.

— A nieoszacowany!.. koleżko, niechże
cię uściskam... słuchaj... niedając nic mówić
ciągnął bezprzestannie pan Laszko, i zupełnie
zapominając swojej roli — słuchaj... niechże
się z tobą napieszczę. — Może przyjechałeś

wymienić listy zastawne na złoto... powiedz
 powiedz.. i nie wiesz gdzie się udać. — Kata-
 rzyño.. hej Katarzyno! przynieś nam butel-
 kę wina szampańskiego za dukata — i chciał
 się schylić w stronę gdzie leżał kuferek, lecz
 następne słowa powiernicy, wstrzymały go-
 ściniego człowieka.

— Panie! kiedy niemamy pieniędzy.

— Ach prawda, wczoraj i dzisiaj chlebem
 i wodą żyjemy... ale może przyjechałeś wy-
 nienić listy zastawne?

— To dawniej było ale nie teraz — odrzekł
 z ciężkim westchnieniem.

— Więc jakaż dalsza historia?

— Żona mi niedługo umarła, niepozosta-
 wiając żadnego potomstwa, zostawałem
 przez długi czas w największej rozpaczey,
 bo ją niewypowiedzianie kochał i ubóstwiał.

— I może się martwisz? — umarła jedna,
 będzie druga i kwita, bo ja, Bóg świadkiem
 mojej duszy jestem kawalerem i nigdy żenić
 się niemyślę, a mnie co po tym kłopotcie.

— Ja zaś innego jestem zdania kochany kolego... mnie żona szczęście i całe moje życie uprzyjemniała. — Po jej śmierci, nietylko smutek mnie ogarnął, ale Bóg zsyłał na mnie nieszczęścia. — Ogień po kilkakroty pochłonął wiele moich dóbr, gospodarstwo upadło, nieurodzaje, grady, zarazy, a nareszcie rozliczne wypadki przyczyniły się do tego, że cały majątek utracił. —

— Jakto?... i nie już nie masz? zapytał pan Laszko z szczególną ironią.

— Tak nie już nie mam... i ot przyszedłem do ciebie prosić o wsparcie, lub o pożyczkę na ten sygnet kilka dukatów.

— Bóg świadkiem mojej duszy, że i ja tak jestem nieszczęśliwy jak i ty — Katarzyno!

— A co panie?

— Cóż jutro mieć będziemy na pożywienie?

— Albo ja wiem.

— Potrzeba będzie zastawić ten szlafrok — odrzekł zawodząc się od płaczu.

— Cóż oni ci dadzą kochany Jakóbku... to bardzo zniszczony — rzekł pan Ordega li- tościwie, uwierzywszy ułanej jego prostocie.

— Choćby na kawałeczek chleba wystar- eżyło, a wodę bezpłatnie mieć możemy. — Takto mój kochany przyjacielu, muszę pro- wadzić moje życie nędzne, dopóki się nie- spodoba Bogu zabrać mię na swoje łono.

— Toś i ty widzę tak nieszczęśliwy, jak i ja, Bóg ci dopomóż Jakóbku, a ja pójdę szukać zamożniejszych ludzi.

— A pokażno ten sygnet?

— To jest pamiątka po moim ojcu, ale teraz w tak okropnem położeniu, chciałem go zastawić.

— A wieleżbyś potrzebował?

— Choćby 10 dukatów.

— Znam ja tu jednego człowieka, coby cię mógł poratować, ale potrzeba mu za grze- czność choćby połowę ofiarować procentu.

— A mój najdroższy uczyńże mi tę przy- sługę, to się już zgadzam na wszystko.

— Bóg świadkiem mojej duszy, że dla ciebie moich lat młodych przyjacielu wszystkoby m zrobił, nawet dał bez fantu i procentu... ale widzisz co się u mnie dzieje.

— I pan Laszko natychmiast wyszedł na kilka minut na ulicę, a gdy się przekonał o wartości zastawu, rozpruł kołnierz u starego szlafroka i wydobyl dziesięć dukatów, napisał pierwszy na karteczce osobnej formalności; — że za zwrotem piętnastu, po upływie miesiąca sygnet może być wykupiony.

Niedługo pan Ordega uściskawszy i podziękowawszy, pożegnał tak szczerego przyjaciela; a pan Jakób Laszko, kazawszy napowrót zarygłować drzwi; ukląkł przed obrazem Najświętszej Panny, zmówił kilka pacierzy, westchnął głęboko i podziękował Bogu, że mógł dopomóc nieszczęśliwemu koledze.

Już było około południa, a jeszcze stary lichwiarz niepomyślał o obiedzie; nareszcie zdecydowawsy się, wyjął z osobnego skurzanego

woreczka, kilka zapleśniałych trojaków, i za nie rozkazał Katarzynie przynieść wiązeczkę rzodkiewek, bocheneczek chleba i serrek niewielki, a przypomniawszy jej, aby w targowaniu nie była zbyt skora, bo to ciężkie czasy wyprawił do miasta.

Pan Laszko od niejakiegoś czasu stał się nikičemnie skąpym; gospodyni zaś jego, choć wiedziała o niezliczonych skarbach swego pana, żadnych perswazyi, ani przełożeń udzielać nie mogła, nawet wspominać, że posiada majątek, gdyż na zawsze mogłaby utracić miejsce i nadzieję w przyszłości po świętej jego pamięci.

Kiedy po takim obiedzie odczytywał psalmy i wyjątki z pisma Świętego, ubolewając gorzko, nad cierpiącą nędzą, a polecając opiece Najświętszej Panny wszystkich nieszczęśliwych, znówu sztukanie dało się słyszeć.

— A kto tam?... zapytała powiernica.

— Ja... ja... Frycykiewicz... czy jest pan Laszko?

— To pan Frycykiewicz... no... no... Katarzyno poprosić.

W tem wpadł jak strzała galant wyświeżony, wyperfunowany, w nowiuteńkich białych rękawiczkach, w całym unioformie balowym i wyrzekł bardzo prędko.

— Panie Laszko—lituj się pan...mam iść na bal, potrzeba mi pieniędzy...chcę pożyzyć!

— Niemam nic pieniędzy kochany panie, odrzekł bardzo obojętnie.

— Ale nieżartuj pan, chcę panu zastaw dać odpowiedni.

—Jestem dzisiaj bez grosza wszystko wy-pożyczyłem.

— Ależ ofiaruję panu procent.

— Kiedy nie mam pieniędzy, Bóg świadkiem mojej duszy,—Katarzyno... héj Katarzyno...czy ja mam pieniądze, ty wiesz najlepiej.

— Niechcą panu, ani procentu, ani kapitału oddawać — odrzekła gospodyni.

— Ale ja zaraz jutro kapitał i procent od-

dam, bo mi pieniądze przysyłają ze wsi, a dzisiaj koniecznie muszę być na balu. —

— A na cóż to pan dobrodziej?

— A na ten zegarek celinder breget, o trzy-nastu kamieniach i z tym złotym łańcuchem.

— A wieleż pan życzy?

— Potrzeba mi 200 Złp.

Pan Laszko jakby z niechcenia, wziął zegarek do ręki, obejrzał z wierzchu, ze spodu, ze środka, z boku, i przebaknął bardzo niezrozumiale.

— A grzeczność.

— Będzie nagrodzoną wraz z sumną.

— A... a... a?... wiele... zatrzymując się pan Laszko, nieskończył dalszego pytania.

— Dam panu 10 Złp do jutra rana.

— Może pan dostanie u pana Dobruckiego tu w podłe.

— Tam już byłem, niema ani grosza.

— Bóg świadkiem...

— Dam 20.

— Mojej duszy.

- Dam 50.
- He?... Katarzyno! nie wiesz ty gdzie pieniędzy dla tego pana.
- Dam 60.
- Niewiem... ale można by się wystarać — odrzeknie Katarzyna.
- Panie Laszko kochany... drogi... najdroższy zlituj się... dam 100 a pospiesz się.
- Katarzyno! ten pan jest w konieczności, potrzeba mieć w sercu ludzkość!... jest zdaje się w nagłym interesie... gdyby można panu jakim sposobem dopomódz... ale sam niewiem.
- Ach panie pospiesz się dam 100 za 100.
- Sto za sto... mówi pan do jutra?
- Tak... tak. ale nie nudź pan mnie tak długo.
- Katarzyno! pójdź jeno... podobno tu jeden dzisiaj oddał należność.
- A przypominam sobie — odrzekła sekretarka, przyniósł podobno 400 Złp i włożył je pan pod poduszkę.

I pan Laszko poszedłszy niby wskazane miejsce, wyjął z jakiegoś ukrycia cztery papierki 100 Złotowe, a kazawszy panu Frycykiewiczowi napisać rewers na Złp 400, z warunkiem;— że w razie niewykupienia go w dniu jutrzejszym, zastaw złożony na pewnoś zupełnie utracą;— później zaś odliczywszy na stole 400 Złp. przy Katarzynie, prosił go o odłączenie połowy i doręczenie jemu, (1) co też uskuteczniło.

Po ukończeniu takiej formalności, pan Frycykiewicz wyleciał jak strzała z mieszka-

(1) Jest to wybieg lichwiarski aby całą należność z lichwą odliczać na stole, i dopiero procent niełitościwy z własnych rąk dłużnika z téj saméj summy odbierać, w razie bowiem sporu, o nieprawnie pobierany procent, taki lichwiarz śmiało przysięgać może, że całą walutę jaką stoi na rewersie zaliczył, a jemu tylko łaska pożyczającego za grzeczność, co się podobalo odtrącił.

nia uczeiwego pana Laszko, który starannie zaryglowawszy drzwi, odmawiał godzinki, całował szkaplerze, a mając gorącą intencją do Najświętszej Panny Maryi, polecił jej wszystkie niesprawiedliwości i obmowy swoich nieprzyjaciół.

III.

Już był wieczór, lampka łojowa słabe światło rzucała, na ciemne sklepienia wilgotnych murów, kiedy pan Laszko czytał modlitwy. Wówczas to dopiero spostrzedz było można rysy człowieka, wyzutego z prawdziwej religii, twarz ponura, głębokie marszczki na około, włosy siwe porozrzucane, a usta sine, z których tak pobożne słowa wychodziły, świadczyły walkę sumienia, grę uczuć gwałtownych, wspomnienia niekzemne oszukanych istot; a jednakże pan Laszko do końca swego życia passował się z sumieniem, a swęj metody oszezerstwa, kłamstwa i lichwiarstwa niepoprzestał.

— Katarzyno! ktoś znowu poka, rzekł pan Laszko wstawszy nagle z krzeselka.

— Pan Wierzycki.

— Pan Wierzycki — nie mam czasu.

— Kiedy na wszystko molestuje, aby się mógł z panem widzieć.

— Katarzyno! rzekł ciszej — jestem chory — rozumiesz?

— Rozumiem panie.

— Teraz możesz otworzyć.

Kiedy wyuczona powiernica, poszła drzwi otwierać, tymczasem pan Laszko, czempredziej zrócił treпки z nóg i legł na łóżko, wzdychając i ciężko jęcząc.

Niedługo wszedł pan Wierzycki, włos jego na głowie rozrzucony, spojrzenie rozpaczające, rysy twarzy cierpiącego, świadczyły o jakimś gwałtownym nieszczęściu. — Wspomniony Wierzycki uzbierawszy niewielką sumkę z mozolnej pracy rękodzielnej, w zaufaniu oddał ją w ręce pana Laszko, teraz zaś skutkiem nieprzewidzianych

wypadków, przybywa z prośbą o zwrot swego kapitaliku i objawia swoje cierpienia.

— Lituj się panie Laszko — rzecze on — mam żonę prawie konającą, dzieci chore, jestem bez czynności; nie chciałem wprawdzie naruszać mojego kapitaliku u pana, jednakże tyłoma nieszczęściami przyciśniony, błagam jego litości o zwrot mojej sumki.

— Kiedy jeszcze termin nie nadszedł — odrzekł głosem cierpiącego.

— Panie! — odtrąć procent za cały rok jak już wziąłem a oddaj mi resztę, bo jestem w nieopisanój potrzebie.

— Widzisz pan jak jestem sam chory, i jaka u mnie nędza dookoła. — Nie już dzisiaj nie mam pieniędzy.

— Zaonegdaj mój znajomy, pożyczył u pana pół tysiąca Złotych na pierścieni z brylantami.

— Zaonegdaj jeszcze byłem panem a dzisiaj nędzarzem... tak nędzarzem!... bo mnie wczoraj okradli co do grosza. — Bóg świad-

kiem mojej duszy, że nie nie mam — Katarzyno!...hej Katarzyno!...czy ja mam pieniądze?... powiedz ty wiesz najlepiej.

— Wczoraj i dzisiaj chlebem i wodą żyjemy.—Pan chory, niema ani na doktora, ani na lekarstwa, okradli nas prawie ze wszystkim.

— Katarzyno! młli mnie podaj mi wody.

— Ach panie! moja żona konająca...więc już moje pieniądze przepadły?

— A wieleż panu byłem winien?

— Pięć tysięcy Złotych.

— Jakiż procent panu opłacałem.

— Po 7 od sta.

— To było w lepszych czasach...bo dzisiaj... widzisz... widzisz koehany panie... jak jestem nieszczęśliwy... chory... wynędzniały i zaczął płakać.—A wieleż toby pan odstąpił.

— Odstąpiłbym 100... 200... 500... ale cóż kiedy pana okradli...odstąpiłbym nawet 1000 Złp.

— Oj! oj! Katarzyno! nudno mi.

— Święty Djonizy — rzekła wchodząca...
Pan tak chory, a tu niema, jak i czem za-
radzić.

— Panie Wierzycki!... Bóg świadkiem
mojej duszy, żebym panu oddał zaraz, bez
potrącenia procentu... gdyby nie... e e e...
ciężko mi jakoś na piersiach.

— O mój Boże!.. o moja żono!.. o moje
dzieci!.. cóż ja pocznę!... jak sobie zaradzę.

— Zrabowali mnie złodzieje — zrabowali
hultaje... cóż ja im winien... żebym jednak
mógł jakim sposobem panu dopomóc.

— Panie Laszko — wyrzekł pan Wierzy-
cki z płaczem i z śmiałą resignacją... od-
stąpiłbym połowę.

— Połowę?... he?... Katarzyno!.. ten pan jest
nieszczęśliwy... żona konająca... dzieci cho-
re... potrzebuje koniecznie ratunku.

— Święty Djonizy i cóż mu poradzimy?..

— Panie Wierzycki e e e... Bóg świad-
kiem mojej duszy... e e e... choć sam je-

stem chory... kręci mi się w głowie... krew na mózg uderza... jednakże e e e... a masz pan rewers?

— Mam... ale cóż mi po nim, kiedy pan jesteś w takim samym położeniu jak i ja.

— Bóg świadkiem mojej duszy... ale kiedy pan jesteś... nieszczęśliwszym... a że ja jestem litościwym,... choćbym sam z głodu umarł e e e...

— A niechże cię Bóg broni panie Jakóbie—odrzekł z rozrzewnieniem pan Wierzycki.

— Choćbym sam żebrał... a jednak e e e... niechciałbym cię nieszczęśliwym uczynić, coś mnie powierzył majątek, a majątek to jest życie człowieka.—Mam w zastawie ten pierścień, o którym mówisz, bo on jedynie uszedł grabieży... e e e... może mi Bóg pomoże, jeślibym e e e przyszedł do zdrowia... a teraz mogę dla pana zastawić... a pokażno pan rewers?

— Oto panie zapłacony procent do końca roku, a jeszcze brak czterech miesięcy.

— W imie boskie dla pana, coś był tyle ufny w mojej rzetelności, niech Katarzyna zastawi znowu ten pierścień gdzieindziej i niech panu odda 500 Złp... ę ę ę, bo może taką summę pożyczą... a gdzie pański rewers?

— Ależ kochany panie Laszko, jeśli mi pan liłość i grzeczność chce wyświadczyć, to się na tym rewersie napisze, że z kapitału całego, już wzięto Złp. 500.

— ę ę ę Katarzyno!.. Katarzyno... tak mnie mgli... jestem chory... ę ę ę wody!.. może ja do jutra niedożyję.

— Święty Djonizy! — rzekła gospodyni... to trzeba iść po księdza.

— Ty wiesz najlepiej Katarzyno, że ten pierścień jedynie jest przy mojej duszy, pamiętajże... ę ę ę, jeśli mi zamkniecie powieki, oddać go jedynie prawdziwemu właścicielo-

wi, boby Bóg na przyszłym sądzie nieodpuścił mi grzechu.

— Więc jakże panie Laszko — przerwie pan Wierzycki, niechże pan napisze na rewersie, lub ja sam.

— Drżą mi ręce... ruszyć się z łóżka nie mogę... mgło mi się robi w oczach...oj! i słabo...bardzo słabo..Katarzyno idź po Księdza.

Kiedy to wyrzekł, wyuczona powiernica jak najspieszniej zaczęła się ubierać, a pan Laszko zamykał i przewracał śmiertelne oczy. Twarz jego żółta, wyschła, znędzniała, tym mocniejszych dodawała wrażeń. — Na pytania, prośby i łzy prawdziwie cierpiącego, mało opowiadał, który uważając z tych wszystkich znaków konającego, rozważył — że ani podpisy jego, ani żadne dowody na resztę summy, były mu bezpotrzebne; — ukląkł zatem przed łóżkiem tegoż a oddając mu rewers, błagał, aby poprzednią obietnicę wypełnił. Konający jakoś nieśmiało, powoli, z lekka, powracał do lepszego zdrowia. Oczy jego

wprawdzie blado świecily, ale kołem nietoczyły, głos z piersi się wydobył, ale głos wyrafinowany i eichy.

—Katarzyno!...nim pójdziesz po księdza, idź z tem pierścieniem, zastaw u mojego przyjaciela pana Dobruckiego, powiedz mu kto go jedynie wykupić może, a pięćset całe Złotych, bo on na niego może pożyczycy, oddasz do rąk pana Wierzycielskiego.

Niedługo pan Wierzycielski całując po ramieniu i dziękując mu, że tak jest sumienny i litościwy, oddał rewers w ręce pana Laszko i wyszedł wraz z jego sekretarką, a nikczemny oszust po kilku minutach, gdy wiedział z pewnością, że już są daleko na ulicy wstał na paluszkach, posłuchał jeszcze chwilkę pod drzwiami niedowierzając samemu sobie, i zarygłował jak najstaranniej swój apartament; później zaś otworzył gorzkie żale, i zaczął się modlić na intencją 100 odpustów, które w owym czasie z Rzymu były

ogłoszone, za udzielenie pomocy gwałtownie potrzebującym ratunku.

Za pół godziny Katarzyna powróciła.

— Biedny człowiek — rzekła wchodząc, aż mu łzy w oczach stanęły, kiedy odbierał pieniądze.

— Ach prawda... prawda aniolku... Bóg świadkiem mojej duszy, gdy nie ja co jestem litościwym, byłby może jeszcze nieszczęśliwszym... ostatkiem dzielę się z biednymi.

— Za to Bóg pana błogosławi.

— Gdzietam moje kochanie, zawsze u mnie nędza dookoła. — Niech się dzieje wola Boża, choć sam jestem ubogim, miło mi jest wspierać nieszczęśliwszych.

— Tak, to prawda panie — ale za to Bóg w przyszłym życiu panu wynagrodzi.

— Niech będzie święta jego wola — wyrzekł z głębokim wzruszeniem, a usiadłszy przy stoliku, swoim zwyczajem roztworzył książkę do nabożeństwa, i zaczął odczyty-

wać litanie, a później Anioł Pański z pokorą i skruchą; — aż sen zawarł mu powieki i legł na spoczynek.

To tylko z dnia jednego, tak litościwy charakter, tego pobożnego człowieka widzieliśmy, bowiem gdyby początek środek i koniec miałem zamiar opisywać, pewnie aż przykro by było słuchać o tak miłosiernych uczynkach lichwiarza; jednakże pozostało po jego śmierci wielu kuzynów, którzy podobnie jak on opiekują się nieszczęśliwymi istotami, i ci posądziłiby mnie o stronność, dlatego postanowiłem sobie o nikim z takowych osób niezapominać, i kilka słów pamięci ich zwłokom poświęcić.

To tylko jeszcze nadmienię, że pan Jakób Laszko, przed śmiercią zmienił wszystko złoto na papiery bankowe, i w razie wyjścia na ulicę, zawsze je miał przy sobie.

Nieraz w porze letniej nad wieczorem, udawał się na przechadzkę do Saskiego ogrodu,

w odzieży nędznej i łatanej; a tam siedząc na ławeczce jak mumia egipska, z wejrzeniem litośnym, z obliczem bladym i rozpaczającym, poruszał przechodniów do miłosierdzia nad starcem tak nieszczęśliwym. — I ci rzucali mu do poniszczonej czapeczyny jałmużnę, którą on, chyląc z pokorą głowę, a modląc się głosem donośnym, przyjmował z chęcią od każdego.

Przy końcu swego życia, sumienie przeszladowało każde stąpienie jego. W nocy ukazywały mu się straszliwe widziadła, a w dzień nie miał najmniejszej chwili spoczynku, coś go w sercu gryzło, truto, nurtowało, jak jad zmił; umierając zaś, kilka dni w okropnych cierpieniach konał.

Pogrzeb odprawiono bardzo ubogi, tylko pani Katarzyna i ksiądz Wikary od Ś^{go} Jana, wyprowadzili trumnę drewnianą bez malatury i ozdób, wózkiem jednokonnym na miejsce spoczynku; gdyż nikt z rodziny, krewnych, lub przyjaciół, bo ich nie miał, nie oddał osta-

tniej przysługi. — Nikt nie zmówił paciorka, nikt lezki nie uromił — i nikt kwiatków nieposiał na jego mogile. Jedna tylko gospodyni, szanując pamięć swego pana, na intencją jego duszy zawierbowwała z sobą wszystkie skarby nieboszczyka, i kupiła piękne dobra w Kaliskiem; — tam zaś w swoim dworze sprasząc sąsiadów, odprawia nabożeństwa niesporne przy odgłosie dzwonek szklanych i organach pijanych braci szlachty; i tam, jak ludzie mówią z pomiędzy nich jeden zaimprovizował na pewnej uroczystości antyfonę, pragnąc razem z panią Katarzyną modlić się całe życie, za duszę ś. p. nieboszczyka pana Łaszko.

11.

Powrót jedynaka z wielkiego świata.

W krakowskiej ziemi był dworek cisowy, a w nim mieszkał pan Jakób sędzia pokoju, stary szlachcic i dziedzic po mieczu, pięknych łąnów, szerokich lasów i zyskownej wioski Gagatkowa z przyległościami. — Z miłą sobie Katarzyną doczekał się pan Jakób, pełnych nadziei jedynaka, któremu na imię było Karól.

Karolek do roku życia 21 wykołysany na pieszczotliwych rączkach swój mamy, i ob-

darowany ciąglem pobłażaniem ukochanego taty, wyrósł sobie bujnie, czupurno, wąsato, niemozując głowy nad bezpotrzebną łaciną, albo rachunkami, czasami tylko dorwał się jakiego romansu; ale za to, doskonalił się w sztuce strzelania, jeździł na polowanie, nie opuścił żadnego jarmarku, a tam, zaprzyjaźniał się ze szlachtą i powracał z Jędrzejowa (1) rumieniutki, weselutki, albo w słodziuchnej drzymie w towarzystwie ucieciwego Pinkusa, który miał w opiece młodego sędzica, aby się czasem nieztoczył z nejtyczanki, i jego solidarne obligi.

Wprawdzie pan Jakób ganił czasami postępowanie jedynaka, zakazał nawet żydowi, aby na żadne gry, ani pijatykę nie udzielał mu pieniędzy, z zagrożeniem, że takowych płacić więcej nie będzie, ale dobra mama, zawsze nieoszacowanemu Pinkusowi hojnie nagradzała.

Dojrzał nareszcie pan Karól w takim ukształceniu do lat pełnoletnich, z buńczuczną

miną, ogniistym rumieńcem i okrągłuchną figurką, jak dąbek stoletni; posiadając rzadkie doskonałości obywatelskie, jako to: znał się *szczególnie* na gospodarstwie, umiał oceniać konie, celnie strzelać, nie opuścić żadnego jarmarku, w karty grać honorowo, i upić się wyśmienicie jak należy na szlachezca.

I dla tego też pan Jakób i jego żona serdecznie się cieszyli z takiego klejnotu, ale nareszcie uradzili ożenić Karolka z córką pana marszałka, dziedzica także rozległych włości.

Pan Marszałek miał tylko jedynaczkę, którą podcibnież niewymownie kochał, bo też i nadobne było to paniątko, buziaczek rumiany, usteczka jak maliny, a oczki jak światełka.

Czasami odwiedzali się nawzajem bliscy sąsiedzi, a i młodzi jakoś się mieli ku sobie, a osobliwie powabna Marysieńka, częściej ukradkiem strzelała oczkami, na gładkie wąsiki młodego sędzica, i nie dziw, bo go ko-

chała, ale Karolkowi coś się nroiło, koniecz-
nie przejrzeć świat wielki w Warszawie,
nim się ożeni z Marszałkówną.

I niedługo pan Karól wyrecytował swoją
prośbę przed rodzicami.

Tatka i mama zauważali, że to bardzoby
było pięknie i zaszczytnie, żeby się Karolek
wypolerował na wielkim świecie i miał re-
nomę w okolicy ukończonego człowieka, ale
z litośnem wejrzeniem prosili, żeby lepiej nie
wyjeżdżał, a mama nawet zapłakała obawia-
jąc się jakiego wypadku w podróży; jednak-
że dla sławy i dobrej opinii całego sąsiedz-
twa zezwolili.

A przygotowania do podróży były rozli-
czne, a pożegnania stokrotne, rzewne, bole-
sne; mama z płaczu utulić się nie mogła,
tatka zaś całował i błogosławił, ale nie tak
jak za dobrych czasów, kiedy syn opuszczał
zagrodę domową, to go ojciec benedykował
na bogatym kobiercu najmnieję 25 bizunami,
aż w piątęj wsi u pana Starosty słychać by-

ło, bowiem kochany Karolek był już w wytwornéj karcie, otulony w obszerne futra, odbierając z łaskawych rąk ojca dobrodzieja listy zastawne, ani słyszał o podobnych błogosławieństwach.

Przed wyjazdem jeszcze do Warszawy, państwo Gagatkowscy objechali ze swym synalem najmniej o sześć mil w około do sąsiadów na pożegnanie, z kąd pan Karól prawie z każdego domu dostał listy rekomendacyjne do znakomitszych osób w stolicy, gdzieby przez czas swego pobytu mógł korzystać z oświaty i cywilizacyi wyższego towarzystwa.

Toczyła się bogata landara opieszale po piaszczystych i górzystych drogach, ale gdy na szosie natrafiła, ognista czwórka, krzesła podkowami ogniki po ubitym szabrze, a młody Jonek Białochrabat, w karazyi na wysokim koźle, trzaskał z bicia po krakowsku.

Nareszcie po dwudniowej podróży, lokaje

w galonach wysadzili z wygodnej karety pana Karola przed Hotelem Wileńskim, gdzie przez cały karnawał miał mieszkanie.

W kilka dni po przyjeździe odbył pan Karol pielgrzymkę z listami rekomendacyjnymi do domów znakomitszych miasta Warszawy.

Tam był przyjmowany jak przystoi na panicza i jedynaka znacznego majątku, ale wizyty salonowe nie będąc w najmniejszym podobieństwie do ukochanych jarmarków je-drzejowskich, gdzie można pić, lulać, krzy-czeć, niespodobały się panu Karolowi i zo-stały niedługo znienawidzone; jednakże za to młody wojażer, obrał sobie typ inшы swo-jego ukształcenia na wielkim świecie, i za-brał ściśle zażyłości z tak zwanemi *filozo-ficznemi kawalerami*, na respekcie bruku *Warszawskiego* (2) zostającemi.

Ci umieli trafiać w jego przekonanie, opro-wadzali go po miejscach najwięcej przez pu-bliczność uczęszczane, na przyjacielskie ba-lik, kawiarnie, teatry, maskarady.

Tu dopiero odżyły uczucia młodego panicza, tu w odmęcie nowych wrażeń, zjawisk, mamideł, owionął duch słodkich uciech, tu pędził czas swobodnie, w zupełnej zgodzie z jędrzejowskim wspomnieniem, pośród koła ugrzecznionych i uniżonych przyjaciół rezydentów.

List po liście przychodził do pana Karola od rodziców, że Marysienka oświadczyła się swemu ojcu, że go ciągle kocha, i że oczekuje rychłego powrotu, ale kochany jedynaczek, zaledwie raz w miesiąc znalazł czas do odpisania kilku liter, że jest zdrów, że się dobrze bawi, nabiera oświaty i t. p. zapominając nawet przesłać ukłonów dla pana Marszałka i jego córeczki.

O nadesłanie pieniędzy nigdy nie wspominał w takowych biletach, bojąc się obrazić rodziców, bowiem i w Warszawie są uczciwi ludzie, którzy podobnym jedynakom, a pełnoletnim, na każde zawołanie z uniżoną pokorą dostarczają.

Panu Jakóbowi i jego żonie, aż łezki nieraz płynęły z radości, czytając nieoszacowane pismo swego kanaczka. — „Co to za chłuba moja Kasiu będzie, mówił rozrzewniony pan Sędzia, gdy się zaprezentujemy w sąsiedztwie z naszym klejnotem, chłopcem ucylizowanym i ukształconym na wielkim świecie... o moja Kasiu! nawet pieniędzy tak mało wydaje, musi się pięknie promować... o moje ty życie!.. Bóg nam błogosławi na naszym jedynaku, ukłękniemy i podziękujemy jemu.

Kiedy nieraz sędziwy staruszek w cisowym dworku ze swoją małżonką modlą się przed obrazem Panny Maryi Częstochowskiej, błogosławiąc ten dzień, w którym Karolek pierwsze światło ujrzał; w Warszawie ukochany jedynaczek straciwszy w jednym miesiącu 15,000 złotych, które przywiózł z domu, na zabawy z respektowemi przyjaciółmi, a resztę na karty, zaciągał powoli długi

na solidarne wexle z procentem po 6% na miesiąc.

Warszawa stała się dla niego rajem, niebem ziemskim, tu nie mógł się napić rzeczywistym szczęściem, a osobliwie gdy poznał piękną Anielę.

Odtąd powoli stronił od swych przyklepanych przyjaciół, mniej się pokazywał w publicznych miejscach, jedynie chwile w czasie swój bytności w Warszawie, przepędzał na łonie swój kochanki, i tak się rozmiłował, że już nie było żadnego ratunku w odprowadzeniu go od tego uczucia szalonej miłości.

Panna Aniela dziewica cudniej urody, kształtniej kibici, z anielskiem wejrzeniem, niewinnym uśmiechem, lubo od młodości swój poświęciła się zawodowi teatralnemu w oddziale baletu, jednakże moralne jój prowadzenie zasługiwało na chlubę.

Po śmierci ojca, który był wojskowym, biednej swój matce, ile jój możności dopomagała ze swój szczupłej gaży. — Choć czy-

ściutki lecz skromniutki ubiór niepozwał za-
 ludniać spaceru publiczne, ona też przesta-
 wała na małym i najprzyjemniej czas przy
 swój matce przepędzała. — Lubo ją nieraz
 prześladowały i pogardzały koleżanki, które
 w atlasach, jedwabiach, aksamitach, w gro-
 nie półpanków z koźlemi bródkami w powo-
 zach kołysały się, na wieczorkach szampań-
 skie spijały, a wśród publicznych ogrodów,
 przysłuchując się dźwiękom muzyki, rzuca-
 jąc kłęby dyni z usteczek, były przedmio-
 tem do zastanawiania się tłumu przechod-
 niów, nad ich wytworną elegancją, biżu-
 terjami i złotem!!! ona jednakże swym to-
 warzyszkom niezazdrościła, a chwile wolne
 od swych zatrudnień przy krosienkach lub
 innej moralnej czynności w swój izdebce prze-
 pędzała.

Rodzice po kilku miesiącach pobytu w War-
 szawie swego Karolka, nie o tej miłostce nie
 wiedzieli, jednakże zapragnęli ujrzyć nieoce-
 nione skarby i uściskać go na swém łonie;

napisali przeto do niego, aby natychmiast powracał; a że on szacował jeszcze cokolwiek rozkaz rodziców, a osobliwie że już nie miał pieniędzy, ani kredytu, bo długów narobił przeszło pięćdziesiąt tysięcy, sprzedał karete i konie na opłacenie kosztów podróży i extrapoczta wyruszył.

Przykre było dla niego rozstanie, z ubóstwianą Anielką, długo nie mógł się ukoić z płaczem przy pożegnaniu, jednak poprzyświął jej solennie, że w krótkim czasie powróci.

Przed wyjazdem na tydzień doniósł rodzicom o dniu swego powrotu.

Pan Sędzia sprosił sąsiadów na dzień przyjazdu jedynaka, wyprawił sutą ucztę, nawet drogę, którą młody sędzia miał powracać na ówierć mili blisko, rozkazał pomiędzy alejami, lampami i gagańcami różnokolorowemi oświetlić.

Sąsiedzi zdjęci ciekawością nowin i ujrzaniem pana Karola ukształconego na wiel-

kim świecie, licznie na ten wjazd tryumfalny przyszłego dziedzica wioski Gagatkowa, w paradnych świątecznych strojach do dworu cisowego zajechali.

Był tam pan Cześnik, może ostatni z takim zaszczytem z całą rodziną; — pan pułkownik z czasów napoleońskich; — pan marszałek z siwym wąsem, podgoloną czupryną, aubraný po dawnemu wraz z Marysienką i innymi szlachty wielu, — którzy gawędkę potoczną, zimną, obojętną rozpoczęli.

Już było późno w wieczór, kiedy na gościeńcu od Jędrzejowa, trąbka galonowego pocztyliona zfałszowane tony rozgłaszała, i pan Karól w karyklu pocztowym zajechał przed dworek cisowy.

W uroczystym pochodzie wystąpiła cała drużyna przed ganek drewniany, a pan Sędzia i pani Sędzina prawie na własnych rączkach wysadzili ukochanego kanaka.

A witajże!.. witajże!! — wszędzie dają się słyszeć odgłosy, scena życia nabiera, na

wszystkich licach uśmiech radości zabłysnął; a osobliwie piękna Marysienka różanym wdziękiem ozdobiła twarzyczkę. Każdy się cieszy, raduje, widokiem młodego sędzica powracającego z wielkiego świata, nawet tatka i mama w słodkiem rozrzewnieniu, zapomnieli zapytać się o karetę i bułaną czwórkę.

— No... no... i jakże Mocibodzieju—zapyta uśmiechając się pan Czesnik—jakże się wasze bawił, cóż tam nowego widział.

— Ach wszystko panie Cześniku... wszystko w Warszawie zachwyca, nawet nie wiem od czego zacząć pierwój—odrzekł pan Karol sztywno prostując rumianą twarzyczkę i kręcąc prawą nóżką jakby rachował takty mazura.

— I cóż przecież nowego?... czy kolój już kursuje?—zapyta pan pułkownik ściskając przyjacielsko rękę.

Pan Karól wesa pomuskawszy, obrócił się

po sali, spojrział na koło słuchaczy i zaczął racjonować.

— Kolej żelazna (2), panie pułkowniku, już od miesiąca kursuje.— Ta piekielna maszyna zadziwia całą Warszawę, pędzi jak strzała... i mil kilka w godzinie ubieży.— Codziennie więcej ciekawych przejeżdża spacerem do pobliskich wiosek i miastek, a spektatorów w czasie jój biegu niezliczoną masę narodu na podziw z domów wywołuje.

Cała drużyna oprócz pana pułkownika, od lat może 20tu nie była w Warszawie, i nikt z nich nie widział lokomotywy, a tém bardziej nie mógł sobie jój wystawić, zatem gdziegdzie zadziwienia niedowierzające słyszeć się dały.

— O musimy koniecznie Mocibodzieju jechać do Warszawy moja Tekluniu, niech się téż przewidzą nasze dziewczuchny—rzekł pan Cześnik, dziedzic powabnych włości i urodnych córeczek;—a i pan Marszałek za-

rzuciwszy na tył wyloty, pomuskał podgoloną czupryną, spojrzął się na jedynaczkę i oświadczył stanowczo, że na przyszły karnawał niezawodnie będzie im towarzyszył.

— A teatru Moczanie jak się tam mają?.. rzekł jakiś starowina szlacheć,—bo ja to kiedyś bardzo lubiałem.

— Przybyła teraz z zagranicy opera włoska (4) łaskawy panie... — Co to za melodja, harmonija... co za śpiew tych południowych artystów... to na honor państwo niewierzycie.

— A polskie opery jakże się panie Karolu podobały — rzekł pan Marszałek.

— Ot tak... zwyczajnie panie Marszałku... mało gustu... mało życia — już to nie te głosy co włoskie,... bo co włoskie to boskie; ale za to balet Warszawski nieporównany panie Marszałku!.. to istne niebianki, jakby wieszczki w obłokach, opasane wstęgami tęczy, wieńcami róż.... krążą, bujają, wzlatują

w krainę nadziejską... to zachwyca oko i unosi duszę... a nawet...

— Ej... ej... nśmiechając się przerwie pan pułkownik — pewnie ci tam jaka wieszczka mości sędzicu serce rozradowała, bo jakoś z największym zapalem nad niemi się unosisz.

Pan Karól złapał rumieńca na pulchniutką twarzączkę, to się kręcił... to kołował, to wąsików pomuskiwał, i nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Ale na honor... na honor... żenuje mnie pan pułkownik... jabym miał... w podobne miłostki.... a toby było pięknie.... podobne konesansa.... ubliżają ukształconemu człowiekowi.

— No... no... no... już ja to poznaje — ciągnął dalej pan pułkownik śmiejąc się nawnie a za nim cała kompania, nawet i pannenki chusteczkami usteczka zakrywały; — przyznaj się lepiej, przyznaj Karolku, boć i ja to dawniej te koleje przechodziłem.

Pan Karól zostawał w trudnym do opisania położeniu, to się płonił, to blednął i nie mógł się wytłómaczyć, bo Marysienka ukradkiem na niego śmiejąc się poglądała.

— Ale na honor... na honor panie pułkowniku... przecież ja nietylko o operach, baletach, ale i o dramach, komedjach, grywanych na teatrze warszawskim, podług wartości dam moje zdanie. (5)

Państwo Jakóbowie widząc swego jedynaka w takich tarapatach, zapobiegli dalszym żartom pana pułkownika zapraszając gości do wieczerzy.

Na sali jadalnej dworku cisowego, nie było bogatych mebli, pięknych obrazów, ozdobnych landszaftów; jedynie tylko kredens dębowy wysoki w dawnym guście zrobiony, stół długi zwyczajny pokryty kosztownym obrusem, a obok niego krzeselka z wysokimi skrzydłami zabytki dawniej starożytności przedstawiające, cały pokój godowy ozdobiały; ale za to na ciężkich srebrnych wa-

zach, służba nadworna w galonach, zupy i potrawy dostarczała, rączo krzątając się około biesiadujących.

Przy wieczerzy cichość była uroczysta, czasami tylko szepty i gawędki pomiędzy szlachtą krążyły, a między niemi zadziwienie nad ukształceniem się pana Karola.

Marysieńka jak i córki pana Cześnika, często gęsto oczkiem rzucały na okrągłą twarzyczkę powabnego jedynaka, a i Karolek umiał się wywzajemniać; jednakże był to punkt nieopisanego kontrastu, jeśli się oczki której panienki, a osobliwie córeczki pana marszałka spotkały z wejrzeniem młodego sędzica, wówczas jasno było widać jak się niebogię paniątka zarumieniały, a oczęta ku ziemi spuściwszy, były w pewnym rodzaju słodkiego omglenia.

— Jakżeś szczęśliwa mając takiego syna — rzecze w cichości obok siedząca Cześnikowa do sędziny, — jak się wypolerował w Warszawie, patrzaj jaki grzeczny, jak pro-

ściutko siedzi... aż miło moja sędzino!... możesz się wszędzie poszczycić z takim klejnotem.

— Ach!.. westchnie ciężko pani Jakubowa, bo jęć się słodko na sercu zrobiło, i o mało do płaczu nie przyszło — toć ja go na własnych rękach wykołysała... toć moja krew... moja Cześnikowo!.. mam jednego i chciałabym widzieć z niego pociechę i zaszczyt dla mojej familii.

— Ale!?... jakże on do ciebie podobny — zawoła z zadziwieniem pani Cześnikowa i odwróciła mowę do swojego męża. — Czy ty uważasz mój gołębku, jak Karolek jest podobny do sędziny, to wykapany portret swój mamy... tylko przypatrz się.

— Ale tak jest... ja to już dawniej Mocibodzieju obserwowałem, odrzeknie pan Cześnik zwracając oczy to na sędzinę, to znów na jęć kanaka.

— Za pozwoleniem — przerwie pan sędzia — ja wam powiadam, że Karolek więcej ma

do mnie podobieństwa jak do mojej żony.

— A tak i ja zważam—dodał pan Marszałek—i ja zważam że do sąsiada pan Karól ma więcej podobieństwa.

— Ależ bezpotrzebnie sprzeczne zdania dajecie—zagai pan pułkownik,—bowiem pani sędzina, jak dwie krople wody, jest podobniuteńka do pana Jakóba, zatem ich syn do obojga zupełnie być musi podobnym.

Cała kompania rozgłośnie potwierdziła zdanie pana pułkownika, a dobrzy gospodarstwo uwierzywszy, serdecznie się w duszy uradowali.

Lubo pan Jakób był bronet, wysoki, z noskiem pewnego znaczenia, a jego żona niżniuteńka, szczuplutka, blondynka, twarzy pościągłej i najmniejszego podobieństwa do pana na Gagatkowie nie miała; jednakże taki jest zwyczaj w niektórych miejscach na prowincyi, że mąż z żoną koniecznie muszą być

do siebie podobni, jeśli sąsiedztwo uzna być
tego potrzebaj dla dobra małżonków. podobno
Kiedy starsi tak rozmowę prowadzą, pan-
ny Cześnikówna i Marszałkówna coś między
sobą szeptać zaczynają i widać najjaśniej,
jak Marysienka w płomieniach, czegoś sta-
nowczo zapiera się, spoglądając bożkiem
na pana Karola, który wesa pomuskuje i mi-
nę matęża toż i się bawie i był — Jawolim
-9- Po kolacyi pan Karol czasidł do swiata, a
że mu się ta gra niespodobała, bo chciał ko-
niecznie faraona, albo szłosa, zatem uprosił
swego tatę, który miejsce jego zastąpił, a
on oddał się do śmuto siedzących panie-
nek, i tam zaczął rozmawiać. tego z/n d. 11/2 021

Już mniej więcej wyobrazenie mieliśmy o
Marysience, nie zaszkodzi nam wiasem rozpo-
znać panny Cześnikównę. jakiego nadbrał us

Panna Kordula młodsza Cześnikówna,
przepędziła lat 27 na życiu spokojnem, w do-
mowej zaciszy, a że nie była nader powa-
bną, przeto nikt się tak rąco nie garnął, ale

za to starsza panna Lukrecja, była niegdyś ozdobą okolicy, i od roku życia 17, jedynie przebierała pomiędzy konkurentami, a głośna ze swych wdzięków, wszystkie partye za marłę dla swój osoby uważając, doczekała się w tém przekonaniu, przeszło 35 latek i niedelikatnych odcieniów na licach; po którym to czasie nikt się w nięj szalenie nie rozmiłował. — Byli wprawdzie i potém amatorzy, ale zamiast antołego kasztelanica, krećci się polstarzali szlachcie zagrodowy, zamiast grackiego i bogatego starościca, widziała zalecającego się dzierżawcę na małym folwarku; — a nawet jakiś kancelista do tego syn b. ekonoma, jak pogłoski chodziły, palił podobno do nięj koperczaki.

Chcąc przeto pan Karol okazać dowcip, jakiego nabral na wielkim świecie, starał się z gracją i uśmiechem zacząć konwersację z panną Lukrecją, jako osobą także światową, bo już była dwa razy w Warszawie, jeszcze z nieboszką panią starościna bawiac

u niej na respekcie, i już przeczytała kilka tomów pana Suego.

— Zapewnie jeszcze pani — rzekł on — nie zryzykowała się opuścić stan paniński.

— O jeszcze dosyć czasu panie Karolu, jabym jednakże nie była przeciwko temu, gdybym znalazła osobę z pewnem ukształceniem, któraby miała więcej oświaty, niżeli nasza szlachetka, co nie więcej nie widziała, jak tylko jarmarki jędrzejowskie.

Pan Karol poznał do czego ten zwrot zastosowany, jednak jakby na to nie zważał, poprawił chusteczki jedwabnej na szyi, spojrział się na nowintenki rejtfra i maleńki uśmiech w sobie zatrzymał; a rzuciwszy okiem w tę i ową stronę, zapytał ciszéj, tak, że dwie poblisko siedzące panienki niesłyszały.

— A gdyby pani takiego znalazła, czyli miłość wzajemna, mogłaby odpowiedzieć z pani strony.

— Czyliż pan Karól może o tém powątpiewać, odpowie z szczególnem przymile-

niem.— Jaby m podobną osobę umiała oceniać, a moje serce odżyłoby w krainie marzeń.— Słodkoby mi było napić się anielskim nektarem wzajemności... żyłabym dla niego w natchnieniu kwiecistej imaginacyi szczęścia i radości!

Jak jest przyjemnie widzieć i słyszeć mówiącą dziewicę w zaraniu młodocianych lat, z której miłutkich usteczek, wychodzą słodko-brzmiące niewinne słowa i myśli; tak przeciwnie jakaś czczość i mgłość okrażają umysł młodzieńca, słuchającego podobnych wyskoków miłosnych panienki, na której nigdyś kwitnące lica, wtargnął niedelikatny czas, i niegrzecznie rozdmuchnął cudną kraję, a pozostawił smutne ruiny.

Takowa osoba żyje zawsze w ułudzie, że może być jeszcze kochaną energiczną miłością, wystawia sobie w różanych kolorach, te słodkie wzruszenia młodocianych lat, zapominając zupełnie że jest starą panną, a szczególnie by się zagniewała, ażeby ktoś

sluchając podobne jak panny Lukrecyi uniesienia, powiedział jój cichaczem do ucha, aby lepiej o koronce i paciorkach pomyślała, ale nie o miłości.

Pan Karól zostawał w pewnem rodzaju osłupienia, nie zdobył się już na najmniejszą odpowiedź, ale słuchał dalszych wystowień z nieopisaną bojaźnią, aby się panna Lukrecja przypadkiem szalenie w nim nie rozmiłowała.

— Niewierzysz panie Karolu jak to jest miło i przyjemnie być kochaną i kochać wzajemnie... Co to za rozkosz, za słodycz... na samo wspomnienie niebiańskie uczucia wstępują w duszę, gdzie miłość rozradza stokrotne chwile, niewypowiedzianych uniesień radości serca!...

Już niecierpliwość zaczęła miotać pana Karola, który w téj chwili zamyślał się o Anieli w Warszawie błądzącej, zatem odwróciwszy rozmowę do innego przedmiotu, upraszał panny Lukrecyi, która cokolwiek brzą-

kała na klawikorcie, o zaśpiewanie jakiej piosneczki.

Ucieszona tym zwrotem, tusząc sobie błogą nadzieję, że tém lepiej podbije serce pana Karola, niedługo dała się błagać, i w salonie dworku cisowego, zaintonowała arję żalobną na śmierć Nabuchodonozora.

Zostawmy młodego sędzica i w inném towarzystwie słuchającego tkliwych zwrotów w panny Lukrecyi, bo byśmy nie znieśli, i z wielkiej czułości łzy kroplami płynąćby musiały; niechęć zatem przysposabiać czytelników do gorzkich lamentów, zwraca myśl na inny przedmiot i powraca do Warszawy.

Pan Lejbuś ugrzeczniony człowiek, najmuje extrapocztę do Gagatkowa, i to koniecznie z taką okazałością zajechać musi, bo już jest przebrany nowomodnie, bez brody, w zgrabny fraczek, szerokie pantalony, nowiuteńki kapelusz; chociaż dawniej i piechołką przyleśćby się nie żenował. — Notuje so-

bie przed pocztą w pularesie koszta, i procent od nieopłaconego weksłu.

Pan Mojsie i pan Herszek idą do adwokata, i zamyślają posłać pozwy do pana Karola, podobnież za niezaspokojone solidarne obligi; a panna Aniela myśli, wzdycha i nieraz łzę uрони.

I nie dziw bo go jakoś kochała. —

— Moja mamó — mówiła nieraz — a może on już nie wróci. —

— Powróci kochanie... powróci... nie smuć się tylko i miej nadzieję.

Kiedy mama panny Anieli tak uspokaja swoją córeczkę; w cisowym dworku w kilka dni po powrocie pana Karola z Warszawy, pan Sędzia nagania synowi, że stracił nietylko pieniądze, ale jeszcze powoz i ulubioną czwórkę, jednakże pani sędzina łagodzi sprawę jedynaka.

Na domiar nieszczęścia, kiedy tak ojciec rozmawia w powyższym przedmiocie z swym kanakiem, nadjeżdża pan Lejbuś i załącza

swoje uszanowanie, klaniając się po kilka razy tak niziuteńko, że lubo przeinaczony, został od razu z swego rodowodu rozpoznany od pana Sędziego, a który mniej więcej domyślił się o co rzecz idzie.

— Cóż wać potrzebujesz? — zapyta groźnie pan na Gagatkowie.

— Jestem unizionym śluską jaśnie pana, odpowiedział pokornieuteńko pan Lejbuś.

— No? gadajże wasze?.. co wasze chce?

— Jestem unizionem śluską jaśnie pana, pan Karol jus wi.

— Jaktó?.. co to ma znaczyć?..

— Oto jaśnie panie, pan Karol wziął odemnie dwadzieścia tysięcy złotych na solidarnych weksel, a zie po terminie psijechałem prosić...

— Kto!.. co!.. jak!.. kto za nim ręczył niech płaci... ja nie wiem... ani grosza niezapłacę.

— Jo tys jaśnie panie, nie upominom się u jaśnie pana, tylko u pana Karola.

— On niema pieniędzy i nie oddać nie może.

— Ale jest jaśnie panie pełnoletni, wystawił na siebie weksel, to ja niepotsiebuje pieniędzy, ale pana Karola będę sadzał na lareszt, bo mam z sobą komornika a na każdy psipadek i pomoc wojskowy dostanę.

— Święta Marja Czeszochowska! — wykrzyknie z przerażeniem pani sędzina — komornika!... mego syna aresztować!... o hanbo na cały mój ród!... mężu!... mężu! czy mnie chcesz widzieć na marach!...

— No... no... no... eicho Kasiuniu... eicho uspokój się... już za niego zapłacę... jakże się nazywasz panie...

— Lejbuś uniziony sługa jaśnie pana.

— A wieleż ci się panie Lejbuś należy?

— Dwadzieścia tysięcy dałem gotowizną, a z procentem za ctery miesiąców i różnemi kosztami, nalezi mi się trzydzieści tysięcy.

Pan sędzia spoglądając na swoją Kasiunię płaczącą jak bobr, nie już więcej nie rzekł, ale poszedł do swego gabinetu, dobył z czterdziestoletniej oszczędności zapleśniałych talarów i zaspokoił pana Lejbusia. — Takim samym sposobem i inne długi, skoro tylko pozwyny nadeszły, natychmiast zapłacone zostały.

W parę tygodni po wizycie Lejbusia, nadszedł list z Warszawy adresowany do pana Karola.

List ten lubo bez podpisu, ale że obejmował odpis w wiadomym mu przedmiocie, i oprócz tego żale i ubolewania na tak długie oddalenie się, zakochany jedynak rozpoznał, że jest od swój ulubionój, i w nieopisanym zostawał smutku, nie mogąc do Warszawy tak prędko powrócić, bojąc się narazić więcej rodzicom.

W samej istocie kanacek państwa Jakubów tłumił w sercu gorącą miłość dla pięknej Anieli, potajemnie pisywał do niej i to

bardzo często; a o Marysieńce zupełnie zapomniał. — Wprawdzie po swym powrocie do Gagatkowa, był kilka razy u pana Marszałka, ale każda jego wizyta, była zimną, obojętną i krótką.

Kiedy państwo Jakóbowie zajmowali się ukończeniem uprojektowanego planu, aby ożenić Karolka z panną Marszałkówną; pani sędzina przypadkiem przeczytała list, nieostrożnie zostawiony w otwartej toalecie swojego kanaka.

Tu boleść matki, osobliwie wspomnienie na hańbę dla jej rodziny i niezatartą plamę, jeśliby się Karolek miał żenić z podobną osobą, z niewypowiedzianą rozpaczą rozkrwawiło jej serce.

Niewspominała jednakże najprzód swemu mężowi, ale synka pierwiej wzięła na rekolacje i przedstawiała mu wszelkiemi siłami, niestosowność, uniżenie i wzgardę całej rodziny i okolicznej szlachty, jednakże zakochany Karolek padł jęj do nóg, błagał o prze-

baczenie i oświadczył, że tylko grób rozdzieli go z Anielką.

Widząc pani sędzina, że jej refleksje na nic się nie przydadzą, i że nie ma najmniejszego ratunku rozerwaniu tych miłostek, zwierzyła się potajemnie mężowi i z nim uradziła sub sekreto, wysłać swego jedynaka za granicę do wód karlsbadzkich, dla poratowania, jak mu mówili, nadwątlonego zdrowia.—

I niedługo młody Gagatkowski, zabezpieczony w dokumenta brzęczące i niebrzęczące, w nową karete, dziarską siwą czwórkę i sutą liberję, został odprowadzony przez rodziców pod samą granicę.—Niesprzeczał się Karolek z ich wolą, albowiem zaledwie tatka i mama pożegnali jedynaka, pan sędzic kazał zakręcić i ruszył do Warszawy.

W cisowym dworku w tydzień po odprowadzeniu swego synka, pan sędzia i pani sędzina zostawali w dobrej wierze, że Karolek już jest za granicą, i że może być jeszcze

wyleczony z téj szalonej miłości; dla tego dawnym zwyczajem, klęcząc przed obrazem Panny Maryi Częstochowskiej, uroczyście dziękował Bogu za uatelnienie takiego projektu; jednakże kochany kanaczek, zamiast u wód Karlsbadzkich, swobodnie spacerował wraz z swoją narzeczoną i jéj matką, po ogrodzie Krasiańskim na wodach mineralnych.

— Ach luba niewierzysz — rzecze on — wiele dla ciebie ucierpiałem od moich rodziców i wiele zwalczyłem trudności.

— Jednakże kochany Karolku zastanów się, jeśli bym ja miała być przyczyną zatrućcia chwil szczęśliwych sędziwym twoim rodzicom; to ja kochając ciebie, dla twojéj i twych rodziców spokojności, wyrzekam się być twoją żoną. — Powróć zatem na łono rodziny, osłódź im życie, żeń się z kim oni ci życzą, a ja tem więcej za to kochać cię nie przestanę w oddaleniu.

— Nigdy!.. tak nigdy! bez ciebie żyć nie będę... wszystko dla ciebie poświęcam... życie... majątek... sława... wszystko już Anielpiu do ciebie należy.— Rodzice przeprosić się dadzą, ale moje serce całe życie bez ciebie doznałoby rany, gorszej od trucizny. Nie bierz zatem to za złe, jeżeli w zaufaniu wyjawilem ci urazę moich rodziców względem tkliwej miłości dla ciebie, bowiem chciałem cię zaraz upraszać, do przygotowania się na ubłaganie przebaczenia rodziców za nasz tajemny związek małżeński.

— Lubo jestem pewną, że sama pochodzę z szlachejnej rodziny, bowiem mój ojciec na polu chwały dosługiwał się krwawych wawrzynów, a gdyby żył, byłby może go-dzien stanąć w równości z twoją rodziną, jednakże dla ciebie i twojego przywiązania, poświęcam się na wszystko.

Z tych kilku słów rozmowy, łatwo nam pojąć, że panna Aniela nie była dumną, absolutną, lecz moralnie prowadzoną od swój

matki, zatém pan Karól ujęty więcéj jój łagodnością i dobrocią serca, niedługo, mając z sobą wszelkie potrzebne dokumenta, zawarł związek małżeński.

Pieniądze i czas, które dawniej napróżno trwonił, na kartach, bankietach, balikach, obracał na pożyteczniejsze przedmioty, nawet respektowi kawalerowie byli w nieopisanym smutku, mając już mniejsze przystępy do niego i mało korzyści, bowiem teraz poświęcił się jedynie dla swej żony, i po całych dniach i wieczorach przebywając w domu, rozmyślał nad sposobem prześlągnięcia rodziców.

Mijał miesiąc, a za nim drugi i trzeci słodkiego pożycia w Warszawie młodych Gagatkowskich, a państwo Jakóbowie, lubo z początku cieszyli się w duszy, że synalek przecież usłuchał ich rady i pojechałszy za granicę zapomniał niestosownych miłostek; jednakże nieraz smutna chwila dla nich nastąpiła, wspomniawszy sobie, że już od kilku mie-

sięcy niemają ani listu, ani żadnej wiadomości gdzie się znajduje. — Często rozmaite przypuszczenia zastanawiały ich myśli, a pani Jakóbowa płacząc nad swym mężem, mawiała: — Kubeciu! a może go gdzie rozbójnicy napadli... może zabili... nie nam niedonosi... a może zachował i umarł... o ja nieszczęśliwa!... jednego mi pan Bóg dał uchronić i tego może już nie zobaczę.

Pan Jakób także nieraz łezkę z swych wąsów start wylotem od kuntusza, i jak mógł tak łagodził swoją Kasunię.

— Miej nadzieję kochanko, może też i pisał, a list nas jeszcze niedoszedł.

— Możeby lepiej było Kubecku, żeby był się już i ożenił z tą tam jakąś Warszawianką, bo ta cyganka co to u nas była, wróżyła mi że nasz Karolek zostaje w wielkiem niebezpieczeństwie, a gdym ją więcej pytała, nie chciała nie odpowiedzieć, ale uważałam z jej miny że niedobra nadzieja.

— A i ja myślę żeby to było może i lepiej, niżeli go tam wysyłać za granicę, gdzie pełno rabusiów i rozbójników po drogach.

— Jaby mi — rzekła pani sędzina, wolała już darować tę miłość szaloną, niżeli widzieć go na marach.

— Nie płacz Kasiuniu, nie płacz — odrzekł pan sędzia, a sam zająknął się i zaczął na głos lamentować — już bym i ja wszystko dla niego uczynił, aby tylko powrócił.

W owym czasie pan Karól i jego żona przybyli do Gagatkowa, a zostawiwszy za wsią karete, cichuteńko, piechotką, bo było już zmrokiem, do dworu cisowego podeszli, a posłyszawszy powyższą rozmowę, wsunęli się niespodzianie, i padli do nóg państwu Jakubom.

Tu scena na przemiany nastąpiła, to rżewna, to radośna, to smutna, jednakże dowiedziawszy się, że pani Karolowa jest córką kapitana poległego w wojskach napoleońskich, jeszcze na ziemi klęczących, oboje sędzio-

stwo pobłogosławili, i nie tylko przebaczyli nierozważną miłość, ale jeszcze przyjęli jak należy w swój dom panią synową.

A i sąsiedzi dla znaczenia i powagi pana sędziego, radzi nieradzi, uważają Warszawiankę za żonę młodego sędzica; — tylko pan Marszałek tego nieprzyjmuje, i okropnie zagniewany na państwa Jakubów, już ich nigdy więcej nie odwiedził, sprzedał swoje sąsiednie dobra, i wyjechał gdzieś w dalekie strony od Gagatkowa, bo Marysieńka z niewymowną rozpaczą, a w nieutulonym żalu, spoglądać już nie mogła na tę okolicę, gdzie wioska pana sędziego była, — nawet z heroiczną stałością w pierwszym uniesieniu, gdy się dowiedziała o małżeństwie Karolka, poprzysięgła nigdy i nikogo więcej nie kochać, ale zakończyć życie w klasztorze. — Było przecież inaczej, bowiem w nowej okolicy, zapoznała przystojnego młodzieńca, edukowanego, bogatego, który potrafił ją przekonać, że już o klasztorze więcej nie wspomina.

— A marszałkówny?—ktoś się może zapyta—co się z niemi stało?

Panna Kordula, lubo niebardzo powabna, ale gdy jej się znalazł konkurent, nie namyślała się długo i poszła za męża. — Jest z nim bardzo szczęśliwa. Dostała poczciwego szlachcica, który ją poważa, szanuje i życzyła tego samego przywileju być mężatką swój siostrze; — jednak jeden i drugi karnawał minął, a panna Lukrecja nie widziała żadnego amanta;—gdy zaś przeszłego roku w sam dzień popielcowy sztafetą odebrała list choć bez podpisu, jednakże annexa dołączone z grochowego wianka, z sumiennemi radami, przekonały ją że od dobrego przyjaciela;—ona też zgłębiwszy i poznavszy swoje przeznaczenie, poświęciła się dla dobra ludzkości, zostając panną siostrą w Zakonie Marjawitek Częstochowskich.

Pisałem w Warszawie dnia 27 stycznia 1847 r.

S. R.

22

Najuprzejmiej przeprasza autor, że jeszcze pare słóweczek życzy sobie umieścić, bowiem dopiero w sierpniu otrzymał list następnej treści:

Szanowny Panie!

„Lubo nie mam czasu przy swoich zatrudnieniach gospodarskich, jednakże choć w kótkości czynię zadość pańskiej prośbie i donoszę: że gdy minęły słodkie miesiące miłości, pan Karol napowrót, nietylko jarmarki jędrzejowskie odwiedzał rok rocznie, ale i Warszawę. Tam dawniejszych towarzysów powynajdywał, w karty grywał, pił, hulał, pisał; a do żony i rodziców za ledwie raz w pół roku zawitał. Tymczasem pan sędzia patrząc się na takie zdrożne postępowanie syna, a nie mogąc mu wyperswadować, bo go słuchać nie chciał, ze zgryzoty umarł, a za nim pani sędzina. — Już i talary pana ojca dobrodzieja, nie wystarczyły na

zaspokojenie długów lekkomyślności młodego Gagatkowskiego, a wierzyciele jakoś nie byli dyskretni, bowiem sprzedali dobra przez licytacją na satysfakcję należności, i pana Karola wyprawili wraz z żoną szukać szczęścia na świecie!

Jednakże nieba zawsze są łaskawe na takich birbantów, bowiem pan Karól miał żonę z talentem, która powtórnie wstąpiła do teatru warszawskiego, i ze swój płacy jeszcze utrzymuje swego męża.

Teraz im podobno pan Bóg błogostawi, bo już się dochowali ładnej córeczki, dwoje dziarskich chłopaczków, i jeszcze jest nadzieja.

Oczkowice dnia 15 sierpnia 1847 r.

Uniżony Sługa

Sylwester.

PRZYPISKI.

(1) Miasto Jędrzejów w teraźniejszej Gubernii Radomskiej, sławne jarmarkami na konie.

(2) Jest to młodzież jeszcze w sile wieku, ale za nadto wczesna wegetacja ich postępowań materialnych, pozbawiła w krótkim czasie, nie tylko odziedziczonych spadków ale i życia kwitnącego; tak, że młodzieniec liczący lat 25, słusznie może być porównanym do respektowych kapitanów przy dworach znaczniejszej szlachty. — Takowych filozofów liczbę nieograniczoną zawiera Warszawa. — Ich życie teraźniejsze jest okryte maską stroju dawniejszej świetności majątków. Oni to czekają na zjawienie się jakiego młodzika nie-doświadczonego z prowincyi, zawierają natychmiast z nim zażyłość, ujmują w swoje sidła, korzystają z łatwowierności, i razem z nim czas pędzą najprzyjemniej przy kartach, zabawach etc.

(3) Kolej żelazna w dniu 15 maja roku 1845 została po pierwszy raz otwarta w Warszawie.—Bieg jej średni można liczyć 15 minut na milę. Jednakże i w jednej godzinie 10 mil przesunąć potrafi.—Jak było zdarzenie w roku 1846 w Warszawie, gdzie pewien maszynista chcąc się przysłużyć JO. Księciu Namiestnikowi, odebrawszy papiery o godzinie 7 z rana, z Petersburga przywiezione przez kurjera Cezarskiego, doręczył je JO. Księciu w Skiernewicach przed godz. 8mą.

(4) Towarzystwo aktorów opery włoskiej, przeszło przez rok jeden bawilo w Warszawie, i z początku licznie uczęszczała publiczność, a później bardzo mało, tak jak za dawnych czasów, kiedy włosi na teatrze królewskim opery przedstawiali, potrzeba było spraszać osoby, bo nikt nawet na bezpłatne widowiska uczęszczać niechciał.

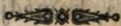
(5) Autor wyreczy pana Karola i wprowadzi na scenę krótką kronikę starożytnych teatrów w Polsce, aż do dzisiejszych czasów.

KRÓTKA KRONIKA

STAROŻYTNYCH TEATRÓW W POLSCE

do

dzisiejszych czasów. (1)



Teatr w zarodku.

Po pierwszy raz w Królestwie Polskiem grany był tak zwany „*Dialog*“ przed magnatami polskimi po śmierci *Kazimierza Sprawiedliwego* w roku 1194 na zamku Krakowskim, dla utulenia żałoby po tymże monarsze.

Później grywane były widowiska teatralne, najwięcej układane z pobożnych i religijnych przedmiotów, aż do roku 1550 i wystawiane w klasztorach przez osoby duchowne.

Papież *Innocenty III* jeszcze roku 1200, gromił takowe nadużycia, a ustawy synodu

roku 1420 zakazały, nietylko gwałcić progi kościelne publicznymi widowiskami, ale nawet wzbronily uczęszczać duchownym na wszelkie teatralne spektakla; — jednak do końca panowania Augusta III, to jest, roku 1764 w kollegiach Jezuickich, aż do zniesienia tego zakonu, były grywane dla publiczności, djalogi, intermedja, komedje i trajedje.

Przy końcu panowania Zygmunta III (2), widowiska teatralne stały się ulubione w czasie mięsopestu po dworach szlachty i długo na zamkach magnatów, tak z amatorów, jako téż i nadwornych aktorów były przedstawiane.

Teatr w rozkwicie.

Za Władysława IV, który był zwolennikiem sztuk pięknych, teatr stały dworski na zamku Warszawskim został urządzony, z liczną kapelą włoską, kostowną maszyneryją, ozdobnymi dekoracjami. Wirgiliusz Pucci-

nelli nadwornny poeta Władysława IV tworzył dramata i opery w języku włoskim, a przedmioty z dziejów greckich, mieszał z historją świętych męczenników; jednak główną myśl swoją obracając na wrażenie czyli efekt teatralny.— Ztąd burze morskie, pioruny, ognie, ogniki, obłoki siarczyste. główniejszą grały rolę niż osoby wprowadzane, ale bawiły się tem z początku oczy widzów, więcéj, niż osnową dramatu.

Za panowania tego Monarchy, nietylko teatr kwitnąć zaczął, ale po pierwszy raz, balet na dworze królewskim zjawił się, z miłym przyjęciem od publiczności.

W czasie godów weselnych, tak poprzedników Władysława IV, jako téż i jego następców, do obchodu uroczystości należały wystawy teatralne; a na wzór dworów królewskich, magnaci i szlachta zamożna na zaręczynach i weselach swoich córek, wyprawiała na własnych zamkach widowiska teatralne.

W owym czasie przepych wystawy, maszyny i dekoracyi, utrzymanie kapeli, aktorów i baletu, nadzwyczaj wiele skarb królewski kosztowały.

Miasto Gdańsk chcąc uczcić drugą obłubienicę Władysława IV, — Marję Ludwikę Gonzagę, na przyjęcie Królowej, w przejeździe jej przez to miasto, w r. 1646 w dniu 15 lutego, własnym kosztem kazało wybudować teatr i w nim grana była wielka opera włoska, do której cudowne maszyny sprowadzane z zagranicy, dekoracye i inne wydatki, pochłonięły przeszło 100,000 ówoczesnych talarów.

Do jakiej okazałości i szczególnych utworów w owym czasie doszły przedstawienia teatralne, daje nam przykład rzadkiej zdolności szlachcic i mechanik Łukasz Piotrowski z pod Łukowa, który nietylko że pisał sztuki, ale jeszcze sam na wynalezionych przez własny dowcip skrzydłach, grając rolę anioła na scenie zamku Warszawskiego,

przylatywał i odlatywał z teatru przez kilka ulic. (3)

Za Jana Kazimierza w roku 1664, Francuzi otworzyli publiczny teatr w Warszawie, tak urządzony, że szlachta z koni przypatrywać się mogła; jednak niedługo zamknięty został.

Przy końcu panowania Augusta III. sztuki teatralne z języka francuzkiego, dopiero zaczęły być tłumaczone, jednak na dworze tego króla, ciągle były przedstawiane jedynie wielkie opery włoskie, a w czasie widowiska, kapela najmniej 100 osób liczyła.

August III. był zamiłowany w muzyce, do której dobierano wirtuozów, śpiewaków i śpiewaczek najslawniejszych z całej Europy.

Wielkie opery grywane były dwa razy w tydzień we Wtorki i Piątki.

Król nieopuścił żadnego widowiska, siedząc w swój łoży przez trzy godziny nieporuszenie; jednak ubolewał nad gustem Polaków, słuchając nieraz sam jeden włoskiej

melodyi, że mimo bezpłatnych biletów, dla każdej klasy narodu tak nieskwapliwie do teatru spieszyli.

Do początku panowania tego króla, kome-dje, opery, trajedje, djalogi, intermedja i t. p. nawet balety przedstawiane były jedynie przez pleć męzką, gdyż staroświeckie polskie niewiasty, tak moralnie i skromnie utrzymywane były przez rodziców, że podobne wystąpienie na scenie publicznej za niesławę przez wszystkich uważaneby było; — to téż właśnie nie daje się w żadnych starych broszurach, ani rękopismach znaleźć podobnego przykładu.

Teatr kwitnący.

Do dnia 26 listopada 1765 r. teatr dworski królewski exystował; w tym zaś dniu i roku za panowania Stanisława Augusta po raz pierwszy zajaśniał Teatr Warszawski publiczny (4) z oznaczeniem stałych cen wuij-

ścia, na rozklassyfikowane miejsca, i po raz pierwszy w tym teatrze, komedia w języku polskim w 3ch aktach z dwoma baletami p. t. *Natreci*, mile była przyjęta od publiczności. Następnie urządzono obszerniejszą kamienicę dla spektatorów przy placu Krasińskich, gdzie po raz pierwszy otworzonym został w dniu 6 Września 1778.

W tym teatrze, który miał nazwanie „*Teatru narodowego*” grywane były z początku jedynie polskie komedje, tragedje, opery, dramy i t. p.; dopiero późniejszemi czasy w miejscu gdzie dziś Towarzystwo Dobroczynności przy ulicy Krakowskie Przedmieście, otworzonym był teatr *Rozmaitości*, poświęcony sztukom ulotnym, krotofilnym i tam publiczność gromadnie uczęszczała. W owym czasie żył artysta dramatyczny *Aloizy Żółkowski*, komik nieporównany i autor kilku odzieł bardzo wesołych. — Krotofilne i dowcipne jego facecje, dotąd z miłą rozrywką Warszawianie wspominają.

W roku 1833 dnia 25 lutego utworzonym był teatr Wielkiej Rozmaitości na placu zwanym Marywil, gdzie były targi na konie najliczniejsze, wprost pałacu niegdyś książąt Jabłonowskich, a dziś ratusza miasta Warszawy. — Gmach ten mieszczący w sobie oba dwa teatry, jest obszerniej struktury, gustownie wystawiony, i jeden z najpiękniejszych ozdób miasta Warszawy.

Pod opieką łaskawego Rządu aktorzy pozostają, i są pomieszczeni na etat. — Dziś wielu korzysta z tego dobrodziejstwa pobierając emeryturę; dla tego téż artyści mając zabezpieczony fundusz na późniejsze lata, starają się jedynie mieć sławę u publiczności.

Publiczność warszawska chętnie i licznie uczęszcza na widowiska, wynagradzając zasłużonemi oklaskami ulubionych z talentami artystów.

— Choć i liczny jest skład osób sztuce dramatycznej poświęcających się, jako téż ozdobne dekoracye, kosztowne maszynerye, nowe bogate i często odmiennne ubiory, co

wszystko znacznych nakładów potrzebuje, jednakże tyle jest funduszu teatralnego, że Rząd mało dokłada do pokrycia kosztów.

Rozliczne są charaktery osób w sztukach grywanych podzielone na rodzaje, odmiennych usposobień nauki dramatycznej potrzebujące; jednak teatr Warszawski do każdego charakteru zdolne artystki i artystów posiada; a pomiędzy innemi zasługują na szczególne łaski publiczności aktorzy i aktorki, których znakomity talent, Warszawianie częstym przywoływaniem i oklaskami słusznie nagradzają.

Pani Halpert w sztukach wyższych dramatycznych najwięcej doznaje względów od publiczności, która ceniąc jęj nieporównany talent, prawie zawsze witana jest oklaskami.

Pan Jasiński w podobnym rodzaju artysta, zasługuje poczwórnje na miłe przyjęcie, bowiem poświęcając się z wytrwałością, nie tylko sztuce dramatycznej; — ale obejmuje czynność reżyssera, nauczyciela sztuki dramatycznej, i nakoniec jest autorem i tłoma-

czem wielu dzieł grywanych z powodzeniem, na scenach obu teatrów.

Do usposobień wyższego talentu w sztukach romantycznych dramatów, zasługuje na właściwe wspomnienie *pan Komorowski*, który z powierzanych ról amantów, z zadowoleniem od publiczności zawsze się wywiązuje.

Grzmot oklasków, który zawsze wita wystąpienie *pana Alojzego Żółkowskiego* słuszną jest nagrodą dla powitania znakomitego artystę komika, co tyle chwil przyjemnych i uśmiechu na lica nasze wywołuje.

Godny następca swego ojca, podobnegoż imienia, jednak można by go jeszcze obligować, aby zpatrując się na wzory swego poprzednika, pozostawił jaką humorystyczną pamiątkę w krajowej literaturze.

Pana Jana Królikowskiego, Rychtera, Zenopolskiego, Panczykowskiego, Majewskiego i innych do talentów wysokiego polotu zamieścić wypada, a jako komiki, z zupełną przyjemnością są przyjmowani od publiczności warszawskiej.

Pan Bogusławski zasługuje także na miłe wspomnienie jako artysta i autor wielu wesołych komedjek. Dowcip jego niewyczerpany, układ scen bardzo zręczny, dialogi wesołe, torują mu drogę do rzędu sławniejszych autorów dramatycznych, jeżeli wypuści nałal z swych wyobrażeń przedmiota moralność obrażające.

Pan Hołdrski artysta opery, mile i z zajęciem w każdym widowisku jest słuchany, a zachwycająca melodia jego śpiewu, hucznym odgłosem oklasków, prawie we wszystkich przedstawieniach nagradzana bywa.

Panna Rywoli i *pani Rywacka* w tymże rodzaju artystki, rzadkim talentem ozdobione, zasługują zawsze na zadowolenie publiczności.

Pomiędzy artystami i artystkami baletu, na pierwszym szczyście doskonałości tego zawodu stanęli *państwo Turczynowicz*, jakoteż *panna Went*, *panna Miąszczyńska*, *bracia Tarnowscy* i innych osób wielu. Ich piękne talenta wznecają zadziwienie i zachwyt w spe-

ktatorach, a ciągle oklaski są nagrodami miłego przyjęcia i dodają zachęty do wznioślejszych doskonałości w tej sztuce.

Niepodobno jest mi wyliczać wszystkich artystów i artystek, w rozmaitych rodzajach swego stanowiska, gdyż chwilowy tylko rzut oka na tę gałąź umnictwa teatralnego zastanowieć było mym zamiarem, dla zachowania pomniku w historyi teatrów polskich;—jednakże mogę dodać rzetelnie, że Warszawa zaszczycać się może doborem artystów z odpowiedniami talentami.

Pominać mi tu także niewypada że orkiestra teatralna, tak teatru Wielkiego, jako też Rozmaitości, każda w właściwych rodzajach zasługuje na miłewspomnienie, a osobliwie artysta skrzypek *Baranowski* i *Horencel* soliści Wielkiego teatru; jako też *Szturm* i *Kurzątkowski* soliści małego, czyli Rozmaitości.

Warszawa dnia 15 Marca 1847 r.

S. R.

PRZYPISKI

- (1) Wyciąg: Teatra St. w Polsce prz. K. Wł. Wojcickiego.
- (2) Zygmunt III. obrał Warszawę za stolicę Królestwa i wyfundował zamek królewski, na placu zwanym Krakowskie-Przedmieście, przed frontem którego stoi z brązu ulany na wysokości kolumnie marmurowej, w królewskich insygniach trzymając krzyż w lewej, a szablę w prawej ręce.— Syn jego Władysław IV. ten pomnik wystawił.
- (3) Teatr Star. w Pols. przez K. Wł. Wojcickiego Tom II. r. 1841.
- (4) Teatr ten był urządzony przy ulicy Królewskiej, przy Saskim ogrodzie, gdzie dziś ujeżdżalnia Rządowa.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

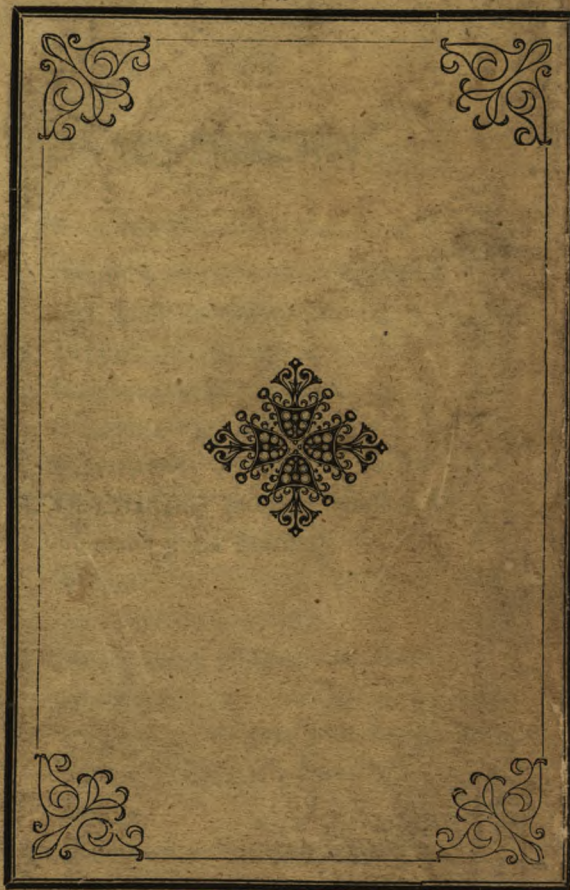
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

SPIS PRZEDMIOTÓW.

| | <i>Stron.</i> |
|---|---------------|
| 1. Ostatni ścieży mieczem, za prawa jus gladii w Piotrkowie | 5. |
| 2. Przywileje szlachty | 19. |
| 3. Pan Ignacy Strzembosz | 41. |
| 4. Objawienie pani Boguckiej | 53. |
| 5. Pan Paweł | 69. |
| 6. Opowiadanie mojego dziecka o swatach pana Starosty | 83. |
| 7. Widma | 113. |
| 8. Młodziuchny Staroście | 139. |
| 9. Swaty pana Pinkusa w War- szawie | 164. |
| 10. Trzy obrazy z życia lichwiarza | 189. |
| 11. Powrót jedynaka z wielkiego świata | 219. |
| 12. Kronika starożytnych teatrów w Polsce do dzisiejszych czasów | 263. |





F

2922